ROCZNIK X. Październik 1906. Tom III. - Nr. 10.

Wiadomości Salezyańskie

Organ Związku Pomocników Salezyańskich.

* Turyn - Via Cottolengo, 32 *

NAJPRZEWIELEBNIEJSZEMU KS. ARCYBISKUPOWI WEBEROWI

Który będąc na stanowisku Sufragana archidyecezyi lwowskiej, był dla powstających w Polsce zakładów salezyańskich najlepszym doradcą, opiekunem życzliwym i troskliwym pasterzem — całe Zgromadzenie salezyańskie, a przedewszystkiem domy w Oświęcimiu i Daszawie wyrażają najszczerszą podziękę za ojcowską opiekę i dobroć i życzą Mu, aby w zasłużonem Zgromadzeniu Zmartwychwstania Pańskiego, do którego wstąpił posłuszny wyższemu natchnieniu, Najwyższy błogosławił Jego apostolskim trudom, a gorliwość Jego uwieńczył obfitym plonem na nowem polu pracy.

PO PIĘCIU LATACH.

1901 — 20^{go} października — 1906.



Cofnijmy się myślą o pięć lat wstecz do dnia poświęcenia zakładu wychowawczego w Oświęcimiu. Kto wtedy bliżej się zastanowił nad zgromadzonymi na podwórzach nowej instytucyi przedstawicielami wszystkich trzech zaborów Polski, kto tam zauważył bratnie skojarzenie się ludu, szlachty, duchowieństwa, i widział chętny udział władz kościelnych, rządowych, autonomicznych — ten pytał się mimowolnie, jak cały kraj może pokładać takie nadzieje w zakładzie, który co do swego typu i systemu był u nas nowością. Wiedziano wprawdzie, że podobno w innych krajach Zgromadzenie Salezyańskie dokonało pewnego przewrotu we wychowaniu przez wprowadzenie do pedagogii nowych pojęć i zasad, ale zasad tych i pojęć u nas bliżej nie znano. Ludzie myślący wiedzieli, że gdzieindziej zastosowano je z powodzeniem i pytali się, czy z równą skutecznością działać będą na nasz charakter narodowy.

Dziś po pięciu latach pracy mamy już dostateczną ilość danych na to, aby na powyższe pytanie odpowiedzieć. System ks. Bosko wywiera na młodzież polską wpływ głęboki. Ogół wychowanków tak mu się zupełnie poddaje, że normalną fizyognomię zakładu oświęcimskiego przyrównać można do typowego wyglądu wzorowych zakładów zagranicznych. Okazało się, że nawet te wyjątkowe jednostki, które zdają się najwięcej odpornemi na łagodne działanie systemu uprzedzającego, bezwiednie w niejednym względzie mu ulegają i nigdy nie opuszczają zakładu bez jakiegoś dobrego wrażenia, wspomnienia, korzyści.

Dziś przeważnie z wychowanków zakładu oświęcimskiego rekrutują się nowicyusze nasi i klerycy dwóch kursów filozoficznych w Daszawie. Inni studenci rozprószyli się po gimnazyach krajowych i zagranicznych, powstępowali do innych zakonów, lub dostali się na posady. Czeladnicy wychowani w szkole rzemieślniczej albo zapisali się do Zgromadzenia, jako bracia zakonni, albo pod korzystnymi warunkami przyjęli pracę u dobrych majstrów.

Kraj śledził każdy krok nowego zakładu. Komisye Wydziału krajowego i Rady Szkolnej krajowej, wizyty księży biskupów, duchowieństwa świeckiego i zakonnego, pedagogów, dziennikarzy i prywatnych dobrodziejów, od profesora uniwersytetu do hutnika górnośląskiego — dowodzą, że wszyscy interesują się postępem instytucyi i kierunkiem, jaki wychowaniu młodzieży nadano. I trudno nie uznać, że ocena działalności zakładowej była zawsze

przychylna. Bo czegoż dowodzą coroczne subwencye W. Sejmu Krajowego, pochlebne protokóły komisyjne i artykuły dzienników, wsparcia gmin okolicznych i ofiarność ludu? A zwłaszcza jak sobie bez tego uznania wytłómaczyć taką powódź podań o przyjęcie, którą corocznie wszystkie klasy społeczne dyrekcyę zakładu zalewają, że nawet czwarta część kandydatów przygarniętą być nie może? Dwustu z górą chłopców w zakładzie, a pół tysiąca próśb o ostatni w nim kącik — to wielki dowód potrzeby, popularności zakładu i zaufania narodu.

Nie można się oprzeć pewnemu uczuciu zadowolenia i pociechy, gdy się rzuci okiem na minione pięciolecie. W powszednią pracę wychowawczą wplotły się fakta bolesne i radosne, ale niezmiernie ważne dla historyi zakładu, jak n. p. śmierć ś. p. ks. Wiktora Grabelskiego i ks. prał. Andrzeja Knycza, powtórny przyjazd Najprzew. ks. Michała Rua i Najprzew. ks. biskupa Nowaka, wizyta Najprzew. ks. biskupa Pelczara, założenie domu w Daszawie, utworzenie nowej lokalnej prowincyi zakonnej, przyjęcie majstrów zakładowych do cechu, wyzwolenie kilkudziesięciu czeladników, coroczne odpusty św. Franciszka Salezego (w pierwszą niedzielę po 28. stycznia), Najśw. Wspomożycielki Wiernych (w pierwszą niedzielę po 24. maja) i św. Jacka (w pierwszą niedzielę po Wniebowzięciu P. Maryi) i t. d.

Praca była różnorodna i wytężona. Pominąwszy codzienne zajęcia pedagogiczne, redakcyę *Wiadomości Salezyańskich*, rozległą korespondencyę i trudy duszpasterskie, przypomnijmy sobie tylko kompletne urządzenie zakładu pod względem ogrzania, oświetlenia i wodociągu, założenie pięciu warsztatów, nabycie rekwizytów szkolnych, kupno trzech domków przy ulicy Kęckiej i obszaru nad rzeką Sołą, budowę suterenów zachodniego skrzydła, budowę kry-



Ks. Stanisław Cynalewski, Misyonarz Salezyański.

tego korytarza do kościoła, roboty liwelacyjne na podwórzach, regulacyę młynówki, rozmaite adaptacye, przeróbki nabytych domów i utrzymanie budynków. Pozatem budowa kościoła jest sama przez się przedsięwzięciem tak wielkiem, że sama może wystarczyć za dowód niemałej czynności. Zreparowano zbutwiałe ściany, zbudowano nawę, nakryto ją dachem, zrobiono olbrzymie sklepienia, wstawiono kamienne okna, otwarto bramę wchodową, przygotowano teren pod dalszą pracę.

Kto to wszystko tworzył i ożywiał? W pierwszym rzędzie opieka nieba, która nieraz była bardzo widoczna, prawie namacalna. Ale pozatem czynne tu były dwie siły ziemskie, które to mają do siebie, że tylko o tyle działać mogą, o ile się łączą i wzajemnie wspierają. Temi siłami są Pomocnicy i Salezyanie. Pomocnicy sami przez się bez Salezyanów są potęgą niewątpliwie wielką, ale martwą i niezużytą. Podobnie Salezyanie bez Pomocników nicby nie zrobili pomimo dobrych chęci i młodzieńczego zapału. Dopiero połączenie obu sił stwarza i utrzymuje zakłady. Dopóki obie czynne będą, dopóki jedna będzie dostarczać środków, a druga je będzie w mechanizmie wychowawczym przetapiać na korzyść ludzkości, dopóty zakłady salezyańskie będą odpowiadały swemu celowi.

Nie brakło nigdy zakładowi oświęcimskiemu hojnego poparcia ze strony Pomocników, a wszystko to, co w Oświęcimiu powstało, jest rezultatem ich ofiarności. Ta ofiarność ludu nigdy się nie wyczerpie, bo oparta jest na wierze i miłości ojczyzny; ale mimo to, jak każda ziemska siła, ulega zmianom pod względem swej intenzywności i jednostajną nigdy nie jest. Są okresy wielkiego napięcia i okresy słabości, którą zakład zaraz w każdej swej części składowej odczuwa.

Właśnie od jakiegoś czasu zakład oświęcimski przebywa może najgwałtowniejsze od swego założenia przesilenie finansowe. Liczba długów podskoczyła do niebywałej wysokości stu kilkunastu tysięcy koron. Jeżeli wyjątkowa szczodrość dobrodziejów naszych nie pozwoli w oznaczonym czasie zaspokoić natarczywości zniecierpliwionych wierzycieli, trzeba będzie szukać drogi wyjścia we większej pożyczce.

Pod wrażeniem tego niepokojącego położenia Salezyanie oświęcimscy upraszają wszystkich swych Dobrodziejów, aby możliwie rychłymi i obfitymi datkami ratowali ich sytuacyę finansową. Z największą wdzięcznością przyjęte zostaną choćby najmniejsze ofiary. Kto już może co posłać, niech nie czeka, aż będzie więcej, bo potrzebna jest pomoc raźna, natychmiastowa.

Czcigodni Pomocnicy i Pomocnice! Złożcie nowy dowód swej solidarności ze Zgromadzeniem Salezyańskiem! Wśród zamętu dzisiejszej doby umiejcie zaświadczyć, że stoicie po stronie wiary, moralności i narodu! Okażcie, że zdajecie sobie sprawę z groźnego niebezpieczeństwa, w którem się pogrążyło społeczeństwo, a z którego nas wyratować może tylko chrześcijańskie odrodzenie narodu przez odpowiednie wychowanie młodzieży. Zakład pojał grozę chwili. Ostatni kącik został w nim wyzyskany. Zastosowano wszystkie środki,

aby drugie pięciolecie zaznaczyło się świeżością sił wychowawczych, pogłębieniem programu i zasad pedagogicznych. Postanowiono za wszelką cenę włożyć młodzieży do ręki obusieczną broń przeciw socyalizmowi, zanikowi wiary i skażeniu obyczajów. Przewidziano nowe poświęcenia i trudy — na wszystko się zgodzono, byle uratować, co jeszcze uratowanem być może.

Pomocnicy! Upamiętnijcie wstęp do drugiego pięciolecia ofiarnością odpowiadającą potrzebom zakładu i doniosłości dzisiejszej chwili dziejowej.

Ks. Bosko na dworach królewskich.

Było to w roku 1854. Piemonckie Izby Prawodawcze przygotowywały ustawę znoszącą zgromadzenia zakonne. Było zamiarem księdza Bosko nie dopuścić do uchwalenia wielkiego bezprawia a następnie wpłynąć na króla, by mu swej sankcyi nie udzielił. To też raz odezwał się do nas w te słowa:

— Gdybym mógł mówić z królem, ostrzegłbym go, aby ze względu na swą rodzinę nie podpisywał ustawy.

— Jeżeli ksiądz pozwoli, rzekł kleryk Savio Anioł, ja mu w tym względzie napiszę.

Ks. Bosko zgodził się i umówiono się, jak list miał być zredagowany. Pismo doszło króla i strasznie go podrażniło, ale ustawa uzyskała jego podpis.

W kilka dni potem rzekł do nas ks. Bosko: „Wiecie co? Napisałem dziś trzy listy. A wiecie do kogo? Jeden do Papieża, drugi do króla a trzeci... no, zgadnijcie! Och! co to za skok! trzeci do... kata!“

Osłupieliśmy. Ks. Bosko spojrzał po nas i rzekł: „Wiecie, com pisał do króla? Zdawało mi się tej nocy, że widzę posłańca królewskiego, który mnie przyszedł zawiadomić o *wielkiej żałobie na dworze.* Doniosłem o tem królowi.“

Po pięciu czy sześciu dniach ks. Bosko spytał nas:

— Nie zapomnieliście jeszcze posłańca królewskiego, którego przed kilku dniami widziałem?

— No i cóż?

— Po raz drugi do mnie przyszedł. Śniło mi się, że jestem w swym pokoju i że przy stoliku załatwiam różne sprawy. Naraz otwierają się drzwi i na progu staje ten sam posłaniec i mówi do mnie tak: „Zeszłą razą pomyliłem się, mówiąc że będzie *wielka żałoba* na dworze. Miałem powiedzieć, że będą *wielkie żałoby.*“ To rzekłszy, zamknął za sobą drzwi i oddalił się. Chciałem go poprosić o wyjaśnienie i pobiegłem za nim, ale on już był w podwórzu i śpiesznie zdążał ku bramie, nie zważając na moje nawoływania. Pisałem dziś o tem królowi.

Słowa księdza Bosko sprawdziły się z groźną dokładnością. W pierwszych dniach stycznia 1855 r. gruchnęła nagle po Turynie złowroga wiadomość, że królowa matka Marya Teresa, wdowa po królu Karolu Albercie ciężko zapadła. Wzruszyło się całe mieszczaństwo. W kościele Matki Boskiej Pocieszenia odprawiać zaczęto tryduum. Ale choroba była niepowstrzymana i 12. stycznia dzwony zwiastowały stolicy śmierć ubóstwianej królowej. Dnia 20. stycznia odbył się pogrzeb — a tego samego o godzinie 3ciej po południu z kościoła św. Jana niesiono Wiatyk św. do konającej królowej Maryi Adelajdy. Sam król i książę Eugeniusz nieśli baldachim... Wieczorem dzwony rozkołysały się po raz drugi i opłakiwały nagłą śmierć królowej. — W trzy tygodnie potem umarł prawie niespodziewanie brat królewski Ferdynand, książę Genui.

Król przypomniał sobie przestrogi ks. Bosko i chciał się widzieć z prorokiem swego narodu. Przyjechał do Oratoryum *incognito* z hr. d'Angrogna, pierwszym adjutantem polnym, ale odjechał z niczem, bo ks. Bosko był się przed chwilką zamknął w swym pokoju, a portyerowi nakazał odprawić każdego, choćby nawet króla.

W roku 1867 ks. Bosko pojechał po raz drugi do Rzymu. Żył tam wtedy król neapolitański



Z Misyi ks. St. Cynalewskiego. - Pierwsi chłopcy w zakładzie rolniczym w *Pampa Central.*

Franciszek II z żoną Zofią, siostrą cesarza austryackiego. Gdy w roku 1861 wojska nasłane przez rząd piemoncki zajęły królestwo neopolitańskie i sycylijskie, wywłaszczeni panujący skierowali swe tułacze kroki do Rzymu i, korzystając z gościnności Ojca św., zamieszkali z dworem w pałacu *Farnese.*

Pobyt ks. Bosko w Rzymie zaznaczył się tylu głośnymi czynami, że bliższe otoczenie monarchy-tułacza zapragnęło sprowadzić go do komnat królewskich. Spodziewano się, że monarchowie usłyszą z ust jego pocieszające słowo prorocze i utwierdzą się w nadziei odzyskania utraconego tronu. Poproszono więc księdza Bosko do pałacu Farnese ze Mszą św. — Poszedł, a gdy o oznaczonej godzinie wychodził ze mną z pałacu, nawiązała się pomiędzy nami następująca rozmowa.

— Jakże się księdzu powiodło na dworze?

— Dobrze. Przybyłem do pałacu o właściwej porze i zdołałem załatwić wszystko.

— Czy ksiądz przemówił po Mszy świętej?

— Król o to prosił i ustąpiłem. Gdybyś widział, co tam ludzi na dworze! A bardzo potrzebują kazania, zwłaszcza ci, co najwyżej stoją.

— A o czemże ksiądz mówił?

— O czemże miałem mówić? Że mają duszę zbawić, że powinni dbać o to, aby jej nie zgubić. Rzeczy tego świata można po stracie odzyskać, ale strata duszy jest stratą niepowetowaną i wieczną...

— I na tem koniec? Prawda, że i tego aż zanadto... ale przypuszczam, że i o czem innem była mowa.

— Tak jest, ale to później, gdy byłem z królem i królową na kawie. Co było robić? Tak chętnie słuchają księdza Bosko, a on im mówi tak, jak do swych chłopców w Oratoryum, lub do pastuszków w Murialdo. Po Mszy św. król prosił mnie do saloniku. Wypiliśmy trochę kawy. Na dany znak cała służba się oddaliła

i wtedy postawiono mi takie pytanie: „Księże Bosko! Utraciliśmy królestwo, owszem dwa królestwa. Czy je zdołamy odzyskać?“ Oczywiście nie spodziewałem się takiego pytania i zastanowiłem się chwilkę nad niem. Następnie uśmiechnąłem się, spojrzałem królowi w oczy i poznałem, że koniecznie żąda odpowiedzi. Rzekłem zatem:

— Monarcho! Myślmy o tem, aby pozyskać królestwo niebieskie.

— A o tronie ziemskim mam zapomnieć? Gdyby ksiądz wiedział, jak wyglądają mego powrotu moi wierni poddani!

— P. Bóg już inaczej zrządził. Wasza Królewska Mość może właśnie powiedzieć to, co swego czasu pisał prorok Jeremiasz: *Patres nostri peccaverunt... et nos iniquitates eorum portavimus: Ojcowie nasi zgrzeszyli — a myśmy nieprawości ich nosili.*“ Nikt nie wymaże z historyi krzywd, których kościół neapolitański doznał od Waszych przodków. Winy te przechodzą z pokolenia na pokolenie, a Bóg surowo je sądzi i karze.

— Ale i dobrego niemało zrobiono. Ja sam byłbym wiele zdziałał...

— Tak jest, ale nie tyle, ile znosząc z chrześcijańską rezygnacyą ciężar odziedziczony po ojcach.

— A więc ostatecznie...

— Wasza Królewska Mość nie wróci do Neapolu.

Król wysłuchał tych słów z powagą, zadumał się i spuściwszy oczy, rzekł:

— Spodziewałem się lepszego proroctwa. Ale zgadzam się ze swą niedolą, nie będę narzekał, tylko pragnę odpokutować za krzywdy, które moja rodzina wyrządziła Kościołowi.

Ale królowa nie chciała się poddać ostremu wyrokowi. Zwróciła uwagę na to, że za ich rządów były czasy spokojne, a po zaborze rzeczy się pogorszyły. Dodała, że wszędzie spotkać się można z nadzieją lepszego losu i że Bóg, pomimo ludzkich przeczuć, przywróci zakłócony spokój.

Zauważyłem, że mowa stała się zanadto poważna i zeszła na grunt bardzo drażliwy. Na szczęście lokaj dał znać, że nadjechał mój powóz. Król powstał, poprosił o błogosławieństwo i poprowadził do schodów. Królowa pozostała w saloniku trochę rozstrojona.

Za trzy dni prosiła królowa księdza Bosko o wizytę. Gdym go z powrotem odwoził do pomieszkania, zapytałem:

— Cóż nowego? Jak się ma królowa.

— Dobrze. Prosiła o medalik Matki Boskiej Wspomożycielki, pokazała mi swą rodzinę, pytała się o naszych chłopców, o nowy kościół, obiecała mi swoją pomoc i zakończyła temi słowy: „Gdybyśmy byli w Neapolu, mogłabym więcej dać... Co ksiądz Bosko myśli? Czy ja tam wrócę?“ Odrzekłem: „Nie jestem prorokiem, ani synem proroczym; ale jeśli chodzi o moje przekonanie, to muszę Waszej Królewskiej Mości oświadczyć, że Neapolu już nie ujrzy.“ Spojrzała na mnie pogodnym wzrokiem i rzekła: „Zdałam się na wolę Bożą.“

— Ale jak się ksiądz Bosko zdobył na tyle śmiałości, aby bez ogródki udzielić zbolałej damie tak smutnej wiadomości?

— Mój drogi! Prosiła o to, chciała koniecznie, wymusiła poprostu — i przemówiłem. Prawda, że to bolesne proroctwo, ale zobaczysz, że tak będzie.

Tego samego roku w Rzymie wybuchła cholera. Królowa wyjechała natychmiast do Albano i tam wkrótce padła ofiarą zarazy.

We Froschdorfie (w Austryi) chorował od lat potomek św. Ludwika, hr. Chambord, wydziedziczony Henryk V. Nad jego łożem czuwało grono wiernych przyjaciół, pomiędzy nimi nieodstępny hr. Burg.

W kwietniu 1883 Paryż został zelektryzowany obecnością księdza Bosko. Dzienniki francuskie ogłaszały życiorysy i niewyjaśnione czyny pokornego kapłana. Wtedy i w otoczeniu hr. Chamborda powstała myśl przywołania go do Froschdorfu, aby pobłogosławił potomka tylu królów.

Ale na wszystkie listy, wzywania i prośby ks. Bosko był obojętny i ruszać się nie chciał. Ktoś zauważył:

— Także bogaci potrzebują wizyty...

— Mają tylu księży, odrzekł ks. Bosko. Nawet biskupów mogą mieć...

— Tak jest. Ale ów pobożny magnat chce usłyszeć słowo pociechy właśnie od ks. Bosko.

— A cóż ja mu mogę powiedzieć? Panowie mogą sobie sprowadzić tylu księży uczonych. Nie do nich mnie P. Bóg posłał.

Tymczasem nalegania stały się po prostu natrętne. Codziennie nadchodziło z Froschdorfu kilka telegramów. Wreszcie przybył do Turynu po księdza Bosko sam hr. Burg i zaofiarował mu specyalnie zamówiony wagon salonowy. Dalszy opór był już niemożliwy i ks. Bosko wybrał się w podróż z ks. Ruą. Gdy weszli do wspaniałego wagonu, sługa Boży zwrócił się do towarzysza i rzekł: „Co ty na to? U nas inaczej bywa. Jesteśmy tak nawyknięci do trzeciej klasy, że jakoś nam tu niedobrze wśród przepychu.“ To rzekłszy, wyjął plik listów i oddał się swym sprawom.

Tymczasem dzienniki włoskie i francuskie zagrały na larum i oczy Europy zwróciły się na pastuszka z Becchi, udającego się do łoża umierającego króla. Hrabia Chambord był już zaopatrzony na śmierć i chciał tylko przed zgonem usłyszeć z ust męża Bożego słówko pociechy. Po krótkiej rozmowie uczuł wielką ulgę na sercu i rzekł do przyjaciół; „To prawdziwy święty! Jego słowa przywracają mi spokój.“

To było w dzień przyjazdu ks. Bosko. Nazajutrz (były to imieniny króla Henryka) wszyscy oczekiwali czegoś nadzwyczajnego. Jakoż już od samego rana poczęły krążyć pogłoski, że król ma się lepiej. O godzinie 6tej wieczorem cały dwór zasiadł do uczty. Wśród gwaru nagle otwarły się drzwi i na swym wózku wjechał na salę uśmiechnięty hr. Chambord. Nastąpiła chwila szału. Potężny okrzyk: „Król niech żyje!“ ożywił zamek od lat smutny i głuchy. Król pochwycił puchar, podniósł go do góry i zawołał: „Panowie! piję wasze zdrowie!“ Wybuchły nowe okrzyki, oklaski, a druty telegraficzne roznosiły po świecie wiadomość o cudownym zwrocie w chorobie króla.

Hr. Chambord nie poskąpił grosza na zakłady księdza Bosko i przyrzekł uroczyście przyjechać do Turynu 24. maja następnego roku, aby za uzdrowienie podziękować Wspomożycielce Wiernych w Jej świątyni na Valdocco.



Z Misyi ks. St. Cynalewskiego. - Obecne schronisko dla wychowanków w szkole rolniczej w *Pampa Central*.

Ale stało się inaczej. Nie licząc się z osłabieniem, król począł uprawiać polowanie. Pewnego dnia gwałtowne uderzenie strzelby w pierś spowodowało recydywę, której w ostatnich dniach sierpnia tegoż roku uległ organizm nadwątlony kilkuletnią chorobą. Ksiądz Bosko to przewidział, bo powiedział do króla: „Pomodlimy się do Najśw. Wspomożycielki Wiernych o zdrowie Waszej Królewskiej Mości, ale powinniśmy być równie zadowoleni z Jej opieki, choćby nam zamiast garści ziemi wyprosiła czyste złoto."

(Z pism ks. Francesii).



Od Misyonarza Polaka.

(List ks. Stanisława Cynalewskiego do Najprzew. ks. Jenerała Zgromadzenia księży Salezyanów).

Oświęcim, we wrześniu 1906 r.

NAJPRZEWIELEBNIEJSZY OJCZE!



WDZIĘCZNOŚĆ za odebrane dobrodziejstwa jest przymiotem zasługującym na błogosławieństwo Boże i na uznanie ludzkie. Nic więc dziwnego, że dla wzmocnienia swojego ducha tem błogosławieństwem Bożem i celem utorowania sobie drogi uznaniem ludzkiem do dalszej pracy na niwie religijno-społecznej, czynię zadość obowiązkowi wdzięczności i, z okazyi uroczystości św. Michała, pozwalam sobie niniejszem wynurzyć przed Najprzew. Ojcem uczucia mojego serca. Wywiązanie się z tego zadania ułatwiają mi wrażenia, których doznałem z przybyciem do ukochanej ojczyzny po trzynastoletnim pobycie na misyach naszych w Ameryce Południowej, przeważnie zaś na stepach *Pampas*, pomiędzy szczepem Indyan Tehuelches (czyt. Tełelczes). O ile kiedyś zrobiona mi propozycya udania się na misye, pod pewnym względem, sprzeciwiała się wrodzonemu memu poczuciu i chęci pracowania na niwie ojczystej, tak bardzo potrzebującej, szczególnie wśród niższej klasy ludu, sił działających z poświęceniem w kierunku postępowej pracy — o tyle, zdany zupełnie na wolę Najwyższego, miałem nadzieję, że uległością wobec woli Przełożonych i poświęceniem się dla dobra tych, którzy jeszcze żyją w ciemnocie i błędzie, lepiej się przysłużę ojczyźnie swojej, niż własną pracą. Nie omyliłem się. Najwyższemu niech za to będzie chwała, a Najprzew. Ojcu Generałowi za Jego życzliwość względem uciśnionej Polski, oby Pan Bóg udzielił pomyślności na trudnem stanowisku, obfitego błogosławieństwa w świętych zamiarach, a po znojach i pracy doczesnego życia, korony wiecznej chwały. Takie są moje życzenia, jakie w dowód wdzięczności składam Najprzew. Ojcu w dzień Jego imienin, w uroczystość św. Michała, wymiernika sprawiedliwości Bożej przeciw niecnym zakusom zarozumiałości i pychy.

Pierwsze nasze zakłady wychowawcze na ziemi polskiej, w Oświęcimiu i Daszawie, zrobiły na mnie bardzo miłe, bardzo rozrzewniające wrażenie. Tak jednej, jak i drugiej instytucyi towarzyszą okoliczności, w których nie trudno dopatrzeć się wyroków Opatrzności Boskiej.

Oświęcim, stojący jakby na straży wszystkich trzech zaborów Polski, zdobny w świątynię Wspomożycielki Wiernych, podniesioną i odnowioną, a dziś tak wspaniale się przedstawiającą, nasuwa tak znaczące i pełne pociechy myśli, że trudno się oprzeć zdaniu tych, którzy w tem dziele upatrują coś symbolicznego, coś prawdziwie opatrznościowego. Niecne wyroki ludzkie, świętokradzkie profanacye innowierców, a nawet nieubłagany czas, któremu nic oprzeć się nie potrafi, napiętnowały to święte miejsce znakiem zniszczenia, ale zgładzić go zupełnie i zatrzeć jego śladów nie mogły. A kiedy już prawie wszelka znikła nadzieja, kiedy już ostatnie prawie szczątki chyliły się ku upadkowi, za inicyatywą ś. p. ks. prałata Knycza, za staraniem księży Salezyanów i wspaniałomyślnem poparciem naszego ludu, podniosła się z gruzów wspaniała świątynia, jakoby na upokorzenie wszystkich żywiołów, które się sprzysięgły na jej zupełną zagładę. Jakoby w świąteczną przybrany szatę, przedstawia się dziś oczom powstały z gruzów kościół podominikański, a księża

Salezyanie krzątają się energicznie około całkowitego jej upiększenia, ufni, że łaska Boża, opieka Najśw. Wspomożycielki i ofiarność ludu polskiego wesprzą ich mozolną pracę.

Nie mniejsze znaczenie ma w obecnych naszych stosunkach piękny zakład wychowawczy, wznoszący się tuż obok powołanego do swej pierwotnej piękności kościoła. Zakład to olbrzymi, mieszczący w sobie około 250 czerstwej młodzieży ze wszystkich trzech zaborów, złączonej miłością braterską, ożywionej temi samemi dążnościami, zdobywającej sobie obszerne wiadomości na polu wiedzy, sztuki i rzemiosła. Podstawą całego wychowania jest religia, niesłusznie i błędnie rugowana z nowszych systemów wychowawczych. Kto nie przyklaśnie zakładowi, gdzie pod jednym i tym samym dachem, we wspólnem pożyciu koleżeństwa, kształcą się oddzielne warstwy społeczne w tem przekonaniu, że zasadą całego ich życia ma być nierozerwalna jedność oparta na wspólnej i chrześcijańskiej miłości? Cała organizacya zakładu dowodzi przejęcia się myślą, że udoskonalenie organizmu społecznego polega na urozmaiceniu wykształcenia jednostek, czyto w kierunku pracy umysłowej, czy w zawodach wymagających wytężenia sił fizycznych. Zaś wspólne pożycie zaciera w sercach młodzieży wszelkie zarodki niezadowolenia i rozgoryczenia (często niczem nieusprawiedliwionego) jednej klasy społecznej względem drugiej. Ten charakterystycznie socyalny kierunek wychowania najlepiej świadczy o przystosowaniu się zakładu do dokonywającego się przełomu społecznego.

Daszawa, gdzie w naszym nowicyacie znalazłem przeszło 30 kleryków i kilkunastu braci oddanych studyom i cnocie, jest niejako uzupełnieniem Oświęcimia. Wobec dotkliwego braku sił nauczycielskich i wychowawczych, przejętych stosunkami krajowymi, zasilenie personału polskiego szeregiem chętnych pracowników, może bardzo dodatnio wpłynąć na przyszłe losy zakładów salezyańskich w Polsce.

Dział rolniczy powierzony księdzu agronomowi Walentemu Kozakowi, umożliwiając nowicyuszom zaznajomienie się z postępową uprawą gleby, w naszych stosunkach rolnych (pozostawiających dużo do życzenia) ma również niepoślednie znaczenie. Umiejętna uprawa gruntów stanowi o dobrobycie. Możemy zatem ze zapoznania młodzieży z racyonalną uprawą wnosić, że kiedyś ze świadomością pośrednio, czy bezpośrednio, przyczynią się do podniesienia naszych stosunków rolnych. Kapłan, który obok krzewienia wiary świętej, obok czuwania nad moralnością i zbawieniem dusz, nie spuszcza z oka nawet doczesnych potrzeb swego ludu, w pełniejszej mierze odpowiada swemu zadaniu. Naśladuje on swego Boskiego Mistrza, który uzdrowieniem chorych, karmieniem zgłodniałych dowodził Swego Miłosierdzia. Cóż więcej uderzającego pod tym względem, jak owo *misereor super turbam* i cudowne nakarmienie rzeszy? O ile więc Chrystus nawet cudownie opędzał doczesne potrzeby swych słuchaczy, o tyle zasługuje na zupełne uznanie kapłan, który obok gorliwej pracy nad zbawieniem dusz, robi użytek ze swych zdolności, aby pouczyć lud o jak najkorzystniejszych warunkach uprawy ziemi. — Do działania w tej myśli dla dobra społecznego sposobią się również nasi nowicyusze w Daszawie.

Zaiste pięknie zarysowała się przyszłość zakładów naszych w Polsce i działalność moich współbraci, których do tych okolic, Najprzewielebniejszy Ojcze Generale, raczyłeś przeznaczyć. Z przyjemnością zaznaczyć muszę, że dobór ich był bardzo szczęśliwy a zagraniczni księża, którymi nasze szeregi wzmocniłeś, tak sumiennie swemu zadaniu odpowiedzieli, że budzą we wszystkich podziw, wdzięczność i uznanie. Przyznam się, że jedną z największych pociech, jakich doznałem na ziemi ojczystej po długiem życiu na stepach pampasowych, był widok tak umiejętnie zorganizowanych zakładów w Oświęcimiu i Daszawie. Uważam to za nagrodę, której Pan Bóg udzielił mnie i innym moim współbraciom-rodakom za trudy i poświęcenie się dla obcych narodów nieznających swegoBoga. Jeżeli zaparcie się naszej woli i chęci pracowania na niwie ojczystej, jeżeli trudy poniesione dla obcych tak korzystnie się odbijają na naszym rodzinnym kraju, o! jak chętnie zgadzam się na dozgonne wygnanie, na dożywotne tułactwo, by tą całkowitą ofiarą wyprosić obfitość łask niebieskich dla swojch ziomków i ojczyzny!

W zamian żądałbym tylko poparcia, abym mógł i tam na stepach Ameryki jak najskuteczniej pracować dla chwały Bożej i pożytku dusz. Obszerne tam pole działania! ogromne potrzeby, które tylko wtedy zaspokojone być mogą, gdy sobie zapewnię pomoc serc szlachetnych. Ile razy muszę odstępować od pracy dla braku środków! Ileż dobrego zdziałaćby można, gdyby nas stale zasilała ofiarność wiernych! Często najlepsze chęci rozbijają się o brak środków.

Właśnie bardzo mi leży na sercu założenie, w powierzonej mi misyi, szkoły rolniczej. Jej fundacya zależy zupełnie od wspaniałomyślności serc dobroczynnych. Pominąwszy cały zastęp chłopców od polskich rodzin rozproszonych w liczbie kilkunastu tysięcy po niezmiernych obszarach Argentyny, którzy z powodu trudnych warunków życia nie mogą dać żadnego wychowania swym dziatkom, ileżto razy z bolesnem sercem musiałem odmówić przyjęcia polskiemu chłopcu, chociaż rodzice ze łzami w oczach błagali mnie, bym go ratował od zupełnego zdziczenia! Długo rozmyśliwałem, jakby rozwiązać to trudne zadanie, aby jak najwięcej chłopców zebrać około siebie, przynajmniej na przeciąg czasu wystarczającego do należytego przygotowania ich do spowiedzi i komunii św. Myślałem, że w tym czasie należałoby również wzbudzić i ustalić w nich uczucia, jakie polskiemu sercu do śmierci towarzyszyć powinny i nauczyć ich przynajmniej najelementarniejszych wiadomości szkolnych.

Wpadłem wreszcie na pomysł, aby z urodzajnością ziemi związać spełnienie moich zamiarów i założyć na polu misyjnem szkołę rolniczą, gdzie chłopcy oddając się nauce i pracy ręcznej, nie tylko uszlachetnią umysł i serce, ale zapracują sobie także na swoje utrzymanie. Początkowa próba takiej instytucyi (*zobacz załączone widoczki*), utwierdziła mnie w przekonaniu, że tylko tą drogą mogę nieść pomoc dzieciom swoich współtułaczy-rodaków na argentyńskiej ziemi. Z przyjemnością zaznaczyć muszę, że wynik mojego doświadczenia w tym kierunku jest bardzo zadowalający. Z kilkunastu chłopców przyjętych, trzech z lepszemi zdolnościami sposobi się do stanu duchownego, czterech oddaje się nauce rzemieślniczej w naszych zakładach, a reszta powróciła pod strzechę



Z Misyi ks. St. Cynalewskiego. - Zaczątki polskiej instytucyi rolniczej w *Pampa Central.*

rodzinną. Warto więc przejąć się tą sprawą i dbać o jej powodzenie.

Lecz o ile mi w tym względzie nie zbywa na dobrych chęciach, o tyle brak mi środków do dalszego stanowczego prowadzenia tej instytucyi. Jej przyszłość zależeć będzie od poparcia, jakie znajdę w ojczyźnie. Spodziewam się, że myśl moja znajdzie uznanie, że moja prośba o pomoc znajdzie odgłos w naszem społeczeństwie przejętem słowami Chrystusa Pana: „Coście uczynili jednemu z tych maluczkich, mnieście uczynili.“ Wiadomo, że ktokolwiek udzieli czegoś dla Imienia Jezusowego, ten stokrotną odbierze nagrodę w tem życiu a w dodatku po śmierci żywot wieczny. Wynika stąd, że grosz wdowi, którymby społeczeństwo polskie zasiliło moje zamiary na polu misyjnem, obfite ściągnęłoby błogosławieństwo na naszą ojczyznę, a to tem bardziej, że obok polskiej młodzieży, i synowie Pampasów znaleźliby schronisko i pewne wychowanie. Podwójna zatem byłaby zasługa.

Prosząc Najprzewielebniejszego Ojca o błogosławieństwo, kreślę się z wyrazami najgłębszej czci

posłuszny syn w Chrystusie Panu
Ks. Stanisław Cynalewski
misyonarz.

Od Redakcyi. — Ze względu na materyalne i moralne potrzeby naszych wychodźców w Argentynie, polecamy ofiarności społeczeństwa dobroczynne dzieło naszego misyonarza. Wydaliśmy w tym celu seryę pocztówek z widokami jego czynności wśród stepów Pampasów w Patagonii. Kto złoży *jednę koronę (jednę markę* lub *pół rubla)* na rzecz misyi ks. Cynalewskiego, odbierze pocztą pokwitowanie z widokiem misyi i podpisem misyonarza. — Dla ułatwienia przesyłki zaleciłby można, aby się w poszczególnych miejscowościach jedna osoba zajęła zbieraniem składek. Kto w ten sposób zbierze *25 koron* (*25 marek*, lub *10 rubli*), odbierze pamiątkową nagrodę 12 pocztówek z widokami misyi. — Przy wysyłce uprasza się o załączenie wyraźnego adresu oraz o wyszczególnienie kwoty ofiarowanej przez każdą osobę.

Wysyłki aż do Nowego Roku uskuteczniać należy pod adresem,

Wielebny ks. Stanisław Cynalewski
misyonarz.
Oświęcim
Oesterreich-Galicya Zakład ks. Bosko.

Misyonarze wygnańcy.

Obrazek z czasów prześladowania zgromadzeń zakonnych w rzeczypospolitej ekwatorskiej.

(Ciąg dalszy) (*).

Rodział VII.

Na policyi. — Po konie. — Kleryk Egas. — Odjazd.

Tak doszli do koszar i więzień policyjnych. Po chwili byli już pod kluczem. U drzwi stanęła warta z karabinem. Ksiądz Calcagno po pewnym czasie przystąpił do żołnierza i spytał:

— Kiedyż się tu zjawi naczelny komisarz, który nas tu kazał przywołać o tak niewłaściwej porze?

— Czy naprawdę raczy do nas zajrzeć? dodał drugi kapłan.

— Piękny mi spoczynek, jęczał kaszląc ks. Taricco, który chorował na influencę i według przepisu lekarza miał dłuższy czas spoczywać!

— Zdajmy się na wolę Bożą, kończył przełożony. On jest naszą mocą.

Tymczasem z blizkiego podwórza dochodził odgłos nawoływań i kopyt końskich.

— Co to ma znaczyć?

— Może to patrole konnicy przebiegają ulice miasta.

— Tak mi się coś zdaje, że ci ludzie o nas myślą i dla nas przygotowują te konie, rzekł ks. Sacchetti.

Ksiądz Calcagno zamyślił się i zażądał, aby przywołano oficera dyżurnego.

— Czy to dla nas? Proszę mi powiedzieć prawdę. Nie przelękniemy się.

(*) Zobacz str. 171 i następne.

— Ojcze! Tak jest! Szukamy koni, ale nie możemy ich dostać.

— Jeżeli pan pozwolisz, napiszę do naszego zakładu, aby oddawcy listu wydali konie, siodła i t. d.

— Wybornie! Proszę napisać.

Przyprowadzono konie zakładowe z przyborami, które owej fatalnej nocy odszukać zdołano. Za kwadrans znikł z podwórza najpiękniejszy z naszych koni. Co się z min stało? Łatwo

i odłączyć od przełożonych. Na tośmy się nie zgodzili. Gdyśmy za księżmi weszli do bramy więziennej, otoczył nas silny oddział piechoty i chcieli nas wyprowadzić na ulicę.

— Dokąd idziemy? spytałem.

— Proszę iść! Ojcowie wrócicie do zakładu.

— A ci inni księża dokąd pójdą?

— Oni też wrócą, ale inną drogą.

— Nie, mój panie! My swoich przełożonych nie odstąpimy.



Z Misyi ks. St. Cynalewskiego. - Próby z broną nowego systemu w szkole rolniczej w *Pampa Central.*

odgadnąć! Niejeden żołdak w mętnej wodzie ryby łowił.

Wtem naraz otwierają się drzwi aresztu i wpada kleryk Egas, Ekwatoryanin.

— Jakto? Co to jest? Gdzie twoi towarzysze?

— A chłopcy?

— Koniec świata! moi Ojcowie. Więksi poszli was szukać i dopiero co wrócili do zakładu. Straszna to noc! Jedni modlą się w kaplicy, inni płaczą u bramy zakładu, niektórzy rozbiegli się po ulicach, żeby się czegoś dowiedzieć.

— Nie poszli spać?

— Ani mowy!

— Czy was nie wypuszczono na wolność?

— Owszem chcieli nas puścić, ale zarazem

Komendant oddziału kazał nas siłą prowadzić. Oparłem się i imieniem towarzyszy zaprotestowałem przeciw gwałtowi. Wtem zjawił się cień naczelnego komisarza policyi, który bawolim głosem ryknął:

— Co tu za hałasy? Dlaczego się stoi?

— I my jesteśmy żołnierzami. Chcemy iść z przełożonymi. Za żadną cenę ich nie opuścimy!

— Co? co? Tu niema żadnych przełożonych, prócz mnie! Ja tu rządzę a ty, klecho, natychmiast mi ruszaj bo niaczej... i zaklął straszliwie.

— Słucham, bo muszę.

I poszliśmy. Ale wnet pożałowałem i mówię do towarzyszy:

— Nie mamy już poco wracać do zakładu. Wróćmy do swych rodzin, a jutro resztę załatwimy.

— Tak jest! odrzekli wszyscy. Chodźmy do swoich domów.

I rzeczywiście chcieliśmy się rozbiedz. Ale w tejże samej chwili komendant kazał ładować i strzelać do każdego, któryby próbował dać drapaka. Na to rzekłem:

— Dobrze! Dopuszczacie się gwałtów, wobec których jesteśmy bezsilni. Prowadźcie nas, dokąd chcecie.

Ale po dwóch minutach już byłem innego zdania. Staję więc i krzyczę:

— Ani o krok dalej nie postąpię. Wolę raczej pójść do więzienia z przełożonymi.

Wtem nadjechał konno jakiś oficer i utkwiwszy we mnie zajadły wzrok, zapytał komendanta oddziału:

— Ten się tak drze?

— Tak jest, odrzekłem. Powiedziałem i powtarzam, że chcę pójść ze swymi przełożonymi.

Oficer skinął na jednego z żołnierzy, który mnie chwycił za kołnierz i poprowadził do więzienia. W bramie stał naczelny komisarz zły, wściekły.

— Ty się tak rozdzierasz?

— Tak jest, panie komisarzu. Chcę iść z przełożonymi!

— A ty psi synu! i całą siłą uderzył mnie pięścią w plecy. Idź, idź, kiedy chcesz. A raczej nie! Zamknąć go w najmniejszej dziurze!

Dostałem się do framugi tak ciasnej, że nie mogłem ruszyć ani ręką, ani nogą. Myślałem, że chyba wkrótce dostanę kulą w łeb. Z biedą wyciągnąłem koronkę i począłem szeptać modlitwę za przełożonych i siebie... Skończyłem — drzwi się otwarły i wpuszczono mnie tutaj...

Gdy biedny kleryk opowiadał swoje przygody, osiodłano konie i kazano wsiadać. Było to około czwartej rano. Na przodzie jechał oddział artyleryi, po bokach i w tyle żandarmerya. Dowódca konwoju kazał naładować karabiny i uchwycić konie misyonarzy zalejce. Jechali powoli, w milczenni, po pustych, cichych ulicach miasta. W świetle księżyca widzieli księża, że jeden z oficerów eskorty skierował swego konia ku pałacowi jenerała Alfaro i zapukał do drzwi. Otworzyło się małe okienko, a w niem pojawiła się postać ambitnego człowieka, który był sprawadził na Ekwator krwawą zawieruchę, a na misyonarzy niesłuszną banicyę. Mówił z oficerem...

Orszak wyjechał z Quito. Niejeden z wygnańców spojrzał wtył na uśpione miasto i płakał.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Głos o zadaniu Pomocników.

(Z mowy ks. Kardynała Richelmiego).

Panowie! Jak mamy swoje zadanie pojmować? Pomagać znaczy współpracować z drugą osobą, którą uznajemy za swojego nauczyciela i przewodnika. Nauczycielem naszym i przewodnikiem, powiedzmy to sobie zaraz, jest ks. Bosko.

Praca możliwa jest tam, gdzie jest życie i siła. Podobnie aby dobrze czynić, trzeba przedewszystkiem żyć życiem dobrego, gorliwego chrześcijanina.

Dobry chrześcijanin naśladuje Jezusa Chrystusa, który niczego nie pragnął, prócz woli Ojca, a poza Jego chwałą nie miał innego celu działania. Podobnie ks. Bosko, zwalczając przesądy fałszywej filozofii i karcąc słabostkowe uleganie zdrożnym popędom, zawsze wpatrzony był w Boski ideał cnoty a chwałę Bożą i zbawienie dusz uważał sobie za zadanie życia.

Mówił o sobie Boski Mistrz, że grzesznikom w większej mierze odsłania tajemnice swego miłosierdzia, że przyszedł rozpalić na ziemi ogień Swej miłości. Na tych słowach oparł ks. Bosko swą gorliwość spowiednika i zwyczaj częstej Komunii św. w swych domach. Musimy tu sobie prawdę powiedzieć, że według ducha księdza Bosko nie może byó dobrym Pomocnikiem Salezyańskim ten, kto grzechu

w obrzydzeniu nie ma i przez módlitwę oraz częste przystępowanie do Sakramentów św. nie dąży do tego, aby być i pozostać dotrym chrześcijaninem. Opatrzność pawołała księdza Bosko do szerzenia chwały Bożej i do zbawienia dusz. Taki jest cel dzieł salezyańskich — ten cel wytknąc sobie powinni także wszyscy Pomocnicy.

Dziwi niektórych natrętność, z ktorą Salezyanie proszą o jałmużnę. Ale, moi Panowie, czego dziś bez grosza dokazać można? *Pecuniae obaediunt omnia*, mówi sam Duch święty. Bóg jest Panem wszech świata i wymaga, aby w tworzeniu i utrzymywaniu wielkich dzieł religii i miłości bliźniego, stanowiących ozdobę wiary katolickiej, byli czynni wszyscy wierni: bogaci przez wielkie ofiary, biedni przez grosz wdowi.

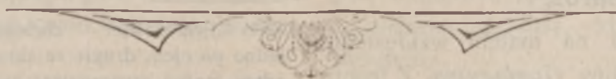


Z Misyi ks. St. Cynalewskiego. - Pierwsze żniwo w polskiej szkole rolniczej w *Pampa Central.*

Nasze współpracownictwo pojęte być może, jako praca bliższa i dalsza.

Bliższa jest nasza pomoc o ile swoją wolę, osobę i majętność składamy na ołtarzu miłości bliźniego, według zamysłów księdza Bosko. Ktoby sobie myślał, że może w równej mierze być pożyteczny ludzkości, nie wpisując się do Związku Pomocników i materyalnie Salezyanów nie wspierając, ten gruboby się mylił. Powinniśmy chętnie, choćby kosztem naszych myśli, osób i pieniędzy, wspierać zakłady salezyańskie, które wskutek swej rozmaitości i ciągłego rozwoju zawsze potrzebują pomocy.

Dalsza nasza praca na tem polega, abyśmy się przejmowali duchem księdza Bosko i zgodnie z nim w miarę sił swoich pracowali. Ks. Bosko oddał swoje dzieła opiece św. Franciszka Salezego i od niego nazwał swych synów i Pomocników. Otóż wybitną cechą ducha św. Franciszka Salezego był duch żywej wiary i łagodności chrześcijańskiej. Takim samym był duch księdza Bosko; takim powinien być duch każdego z nas, każdego Pomocnika Salezyańskiego.



MISYE SALEZYAŃSKIE

EKWATOR.

Z dziejów misyi wśród Kiwarosów.

Po ułożeniu się stosunków polityczych, w lipcu 1902 r. salezyański biskup ks. Costamagna po raz pierwszy wstąpił do swego Wikaryatu Apostolskiego *Mendez* i *Gualaquiza*. Jadąc poprzez ekwatorskie puszcze, tu i owdzie znać było ślady dziesięcioletniej pracy kilku misyonarzy, którzy pewną część szczepów pozyskali dla Chrystusa i znacznie złagodzili okrutne obyczaje Kiwarosów. Ale ewangelizacyę utrudniały ogromnie niestałość koczowniczych ras amerykańskich, błądzących po rozległych i niedostępnych obszarach leśnych, naturalny podział szczepów na rodziny, które z zamiłowania do samodzielności i odosobnienia lubią osiedlać się w samotnych kotlinach i zapadłych wąwozach, a głównie trudność języka, który w ich ustach barbarzyńskich ulega dowolnym przemianom i skróceniom. Religia nie wnikła jeszcze w duszę szczepu; pomimo chrztu była powierzchowna i słaba, a życie często było negacyą wszystkich jej zasad. Tak było w leśnych okolicach *Gualaquiza*. Doliny *Indanza* i *Mendez*, brzegi rzek *Santiago*, *Pante* i *Morona*, aż do *Amazonki*, należały wprawdzie terrytoryalnie do tego samego Wikaryatu, ale nie były jeszcze zbadane: przez nie nie było jeszcze przeszło najlżejsze tchnienie ewangeliczne.

Taki stan rzeczy zastał ks. biskup, a ponieważ wolno mu było tylko miesiąc w swej owczarni pozostać, postanowiono, że wizytacya apostolska tą razą obejmować będzie tylko puszcze przylegające do *Gualaquizy*. Dwie rzeczy okazały się zaraz niezbędnemi: objeżdżać poszczególne domy Indyan, a powtóre przyswoić sobie wyrazy najpotrzebniejsze do ułożenia katechizmu w języku kiwaroskim.

Podróż.

Dom misyjny stoi na małem wzniesieniu w środku wielkiej doliny *Gualaquiza*. Z frontu widać w odległości godziny drogi zabudowania *kapitana Kayapy*. Z prawej strony dom *Nautipy* w odległości 20 minut drogi. O 6 kilometrów dalej wznosi się osada Kiwarosa *Tuiza*. Po za górą w odległości dwóch godzin drogi stoją szałasy *kapitana Suledu*. O wiele dalej, w przedłużeniu kierunku doliny, wśród wąwozów, rzek i pagórków znajduje się dom *Naranza*, a w pobliżu osada kiwarosa *Katipi*. Stamtąd trzeba jechać jeszcze cztery godziny do brzegów rzeki *Chuchumbleza*, nad którą, w pobliżu wpadu rzeki *Zamora*, mieszka *kapitan Sandu*.

Wszystkie te rodziny uznają samowładcze rządy ojca, który jednak nie przekazuje dzieciom swego imienia. Napróżno szukałem śladu pokrewieństwa po za rodziną: kto do niej nie należy, jest osobą obcą. Każdy znany jest po swem imieniu osobistem (*). W pewnych razach, a zwłaszcza w czasie wojny, wskrzesza się władzę *kapitana* (*kepteni*), którego wybierali dawniej wszyscy mężczyźni noszący t. zw. *itipi*. Jest to płótno zawieszone u bioder, a sięgające mniej więcej do kolan: ma niemal znaczenie rzymskiej togi i dozwolone jest tylko pełnoletnim, których poddaje obowiązkom i prawom kodeksu kiwaroskiego. Po tragicznej śmierci osławionego i strasznego *Ramón Hud*, Kiwarosowie jednogłośnie odstąpili prawo wyborcze *Ojcu Francisco*, który zwoławszy wiec kiwaroski, przeprowadził na nim parlamentarną uchwałę podziału rodzin na dwa kapitanaty i zamianował dwóch kapitanów *Jana Kayapę* i *Emanuela Tuledu*. Zebrana dzicz przyjęła nominacyę do wiadomości i przyznała Ojcu Francisco naczelną władzę nad szczepem. Pomimo tego dwaj kapitanowie, którzy z powodu podeszłego wieku abdykowali, zrzekli się wprawdzie czynnej władzy, ale nie chcieli się wyrzec zaszczytów i tytułów, które im też przyznano.

(*) Kiwarosowie — chrześcijanie mają dwa imiona: jedno po ojcu, drugie ze chrztu. Po imieniu ojca będzie odtąd można rozpoznawać linie pokrewieństwa.

Z wszystkich tych Kiwarosów *Kayapa* jest dla chrześcijaństwa najlepiej usposobiony i chce koniecznie gruntownie posiąść i pełnić przepisy kościelne. Pojął on, że przyjęcie chrześcijaństwa jest nieodzownym warunkiem szczęścia i dobrobytu całego szczepu, bo ratuje go od dotychczasowych nienawiści, mordów wzajemnych i zaniku. Także filozoficznie usposobiony *Nautipa* chce zbadać wszystkie artykuły wiary, ale ma łeb zabity kulawymi sylogizmami kiwaroskimi. Zato brat jego *Wincenty* głębiej wniknął w ożywczą siłę katolicyzmu i jest gorącym jego zwolennikiem.

Kiwarosowie chodzą codziennie na polowanie, a bardzo często bywają także w domu misyjnym oczywiście nie poco innego, jak tylko po dary. Niema dnia, żeby ich trzech, czterech, siedmiu, dziesięciu nie zajrzało do *O. Francisco*, który musi ich podejmować grzecznie, podać im krzesło, pozwolić im się wygadać, a wreszcie uszczęśliwić ich przedmiotem, który sobie upatrzyli. Biada, gdyby odmówił, albo nie miał co dać!

Z ks. biskupem jeździł *O. Francisco* i *O. Kiwaro*. Dwaj inni księża misyjni i kleryk zajmowali się tymczasem nieliczną ludnością białą, Indyanami *Kicini* i młodzieżą zakładową. Są tu nadto bracia i aspiranci, którzy stanowią niejako skonsegnowany oddział misyjny. Nie tylko uczą katechizmu, ale w lasach idą przed misyonarzem, ze strzelbą na ramieniu, ze siekierą lub łopatą w ręku. Ścinają drzewa tamujące pochód, budują prowizoryczne mosty, zasypują rowy, wznoszą szałasy i namioty; do nich należy zająć się ogniem, kuchnią, troszczyć się o misyonarza, strzelać do wężów, tygrysów, leopardów i podobnych mieszkańców puszczy.

Do drużyny ks. biskupa przyłączył się dobrowolnie *Wincenty Nantipa*, a jako dobry znawca puszcz poblizkich, oddał nam w podróży wielkie przysługi.

Język.

Należało pomyśleć także o filologicznej części programu misyjnego. Tu trudami fizycznymi niczego nie było można dokazać. Nikt dotąd nie badał języka kiwaroskiego. Gdzieniegdzie, n. p. w *Macas* udało się białym wyuczyć się dzikiej mowy, ale to machinalnie. Mówią, nie zdając sobie sprawy z poszczególnych dźwięków i wyrazów, tak jakby śpiewali znaną melodyę bez najelementarniejszego pojęcia o nutach i muzyce. W *Gualaquizie* nawet takiego tłómacza dostać nie można. Misyonarz jest tu pod względem językowym skazany na łaskę i niełaskę dzikusa, którego się musi stać uczniem.



Z Misyi ks. Stanisława Cynalewskiego.
Typ Indyanina patagońskiego.

Język kiwaroski jest w okresie swej największej żywotności: tworzy się, przekształca, bogaci, gaśnie często bez powodu; dla kaprysu mówiącego ulega zmianom, które są niestałe, przeważnie przemijające, nawet jednorazowe. Reguł językowych, prawideł i wyjątków szukać trzeba w chaosie dźwięków zbitych, pomieszanych, niejednostajnych, których postać i charakter zależy od budowy organów mowy poszczególnych jednostek, od ich chwilowego nastroju psychologicznego. Teoretycznie rzecz biorąc, zdawaćby się mogło, że łatwo odróżnić rzeczownik od słowa, od przymiotnika. Tymczasem gramatykalne określenie części mowy wymaga szeregu pytań, badań i prób odwrotnych. Myśl Kiwarosa nie przywiązuje większej wagi do czynności, jak do podmiotu, lub przymiotu jego. Nawet ta sama myśl różnie się wypowiada, o ile wyraz jest skombinowany z giestem, spojrzeniem akcentem, a zwłaszcza z nadętą emfazą, bez której Kiwaros przemawiać nie umie. A gdy już uchwycone zostały dźwięki najważniejszych części mowy, kto zdoła zoryentować się w zamęcie dźwięków pobocznych, drugorzędnych? Kto zbadał, czy system deklinacyi opiera się na waryantach przybranki, albo końcówki? W każdym razie odmiana rzeczownika jest skomplikowana i utrudniona przez to, że, oprócz zwykłych sześciu przypadków, istnieje podobnie, jak w polskim języku, *casus instrumentalis* (narzędnik) i przypadek, który nazwałbym *casus possessivus*, który ma trzy formy odrębne na pierwszą, drugą i trzecią osobę . . . A jak urabiać liczbę mnogą? Czy nie w ten sposób, że do rzeczownika dodaje się *wszyscy* lub *kilka?* Pewne okoliczności przemawiają nawet za istnieniem liczby podwójnej (*dualis*).

Cóż dopiero z czasownikiem! Wszak to najczęściej używana część mowy. Aby wyśledzić formy głównych czasów, trzeba najprzód uchwycić przysłówki *dziś*, *wczoraj*, *jutro* i kombinować je ze setkami słów. Indyanin słucha, śmieje się i poprawia, a często sam nie wie, jak się wyrazić, bo widocznie liczne słowa są wadliwe (*defectiva*), brak im niektórych czasów, niektórych osób, które wymowny Kiwaros zastępuje określeniem przysłówkowem, albo odpowiednią formą synonima. Formy czasów przeszłych są tak liczne, że przypuszczać można istnienie czasów podobnych do greckiego *aorystu*.

Dalej trudności terminologiczne. Twierdził ktoś, że język kiwaroski należy do najbogatszych i najpoetyczniejszych. Jego poezya nie ulega wątpliwości. Metafora i emfaza zdobi prawie każde zdanie, chociaż bogatszy jeszcze pod tym względem jest pokrewny język *kicini*. Ale to wskazuje na ubóstwo języka. Gdyby był istotnie bogaty, Kiwaros mógłby wypowiedzieć swą myśl bez figury, nie potrzebowałby powtarzać kilkakrotnie raz po raz tego samego wyrazu. Przyznać im trzeba jednak nadzwyczaj obfitą terminologię flory i fauny amazońskiej. Kiwarosowie są najdoskonalszymi znawcami swej przyrody, umieją nazwać najmniejszego owada, najdrobniejszą trawkę i korzonek. Nie mają zato wyrazów na oznaczenie pojęć ogólnych i oderwanych. Abstrakcyi nie znają. Kiwaros nie pojmuje *kary*, ale wie co znaczy *bić*. O *nagrodę* nigdy nie prosi, ale żąda, aby mu coś *podarowano*. Lubi *róże*, *fiołki* i t. d., chociaż nie znajduje w swym języku wyrazu *kwiat*. Nigdy nie używa wyrazu *zwierzę*, ale zawsze mówi ściśle: *tygrys*, albo *pies*, albo *wąż*, *sęp*.

Tutejszy Indyanin nigdy nie miał potrzeby liczyć ponad 10. Uchwycenie i zapamiętanie większej liczby sprawia mu trudność. Składni prawie żadnej niema. Szyk wyrazów w zdaniu jest najzupełniej dowolny. Co się tyczy zdań złożonych i okresów, *O. Kiwaro* wzywa wszystkich lingwistów, aby mu przytoczyli choćby jeden spójnik, prócz *szia* (polskie *i*, *także*) i prócz *cha* (polskie *nie*). Wskutek tego braku spójników niepodobna tworzyć zdań złożonych. Możliwe są tylko zdania krótkie i niezależne. Znać to po mowie dzikusów: nawet w gwałtownych i szybkich dyskusyach można zauważyć po każdych czterech lub pięciu wyrazach końcowe zawieszenie głosu.

Łatwo pojąć, że misyonarz musi się po prostu skiwaroszczyć, aby się wyuczyć języka. A co to zdrowia kosztuje, nim się wniknie w tajemnice ich mowy! Kiwarosowie mało się dokładają do wykładania swej ojczystej filologii. Są nie-

cierpliwi, niespokojni, lubią hałasować i gadać, nie chcą wysłuchać całego pytania i odpowiadają zwykle ni w pięć ni w dziesięć. Aby usłyszeć właściwy wyraz, trzeba im wypowiedzieć swą myśl znakami, wskazaniem przedmiotu odbywaniem odpowiednich czynności. Napisany wyraz lub zwrot trzeba kilkakrotnie poprawiać, uzupełniać, skracać, przekreślać, a często po mozolnych korrektach wracać do pierwotnego brzmienia. Do tego każdy nowy wyraz musi być opłacony darem, bo inaczej Indyanin żegna się natychmiast: „Do widzenia! do widzenia; idę sobie; muszę daleko iść!"

Tak zdołał *O. Kiwaro* zebrać 400 rzeczowników, 150 przymiotników, 30 form zaimkowych, 60 przysłówków, 450 czasowników, kilka przyimków enklitycznych i proklitycznych i kilkanaście partykuł bliżej nieokreślonych. Na podstawie tego słowniczka opracował katechizm.

Ale pierwszym pomnikiem literackim, którego nie powinni ignorować przyszli literaci puszcz ekwatorskich, jest kazanie napisane przez *O. Kiwaro*. Obejmuje ono wszystkie główniejsze tajemnice wiary i zostało wygłoszone przez autora w różnych stronach Wikaryatu Apostolskiego. Dla dogodności przyszłych kaznodziei kiwaroskich przytaczamy tu niektóre ustępy. Wyrażamy dźwięki polskiem abecadłem, które atoli niektóre brzmienia kiwaroskie tylko w przybliżeniu oddaje. Akcentowane zgłoski oznaczono kreskami.

Winia scíłora játcuru éjszmanganszia
Moi Kiwarosowie bracia, mężczyźni,
nułánszia aszí antatáarum. Júsa cikicíki
niewiasty, wszyscy słuchajcie! Bóg jeden
puchawaj. Winia aszí apáru. Júsa ti
jest, nasz wszystkich ojciec. Bóg bardzo
płingarajtii ti carmłatit. Achú aszi
dobry jest, bardzo potężny jest. On wszystko
takámjawi. Wi attúmszia áchunu uszijri —
zrobił. Ja wy też jego dzieci
sziájtchi. Jusa nungán itcan nandún jaszián
jesteśmy. Bóg ziemię, słońce, księżyc, gwiazdy
nachanámiawaj wiszia aszí nachámiawaj.
zrobił; nas wszystkich zrobił.



Z Misyi ks. St. Cynalewskiego.
Arystokraci ze szczepu *Tehuelches* w *Pampa Central.*

Kunjik wiszia aszí jatcurusziájtchi.
Tak my wszyscy bracia jesteśmy.
Gualaquiza szíłora Indanza szíłora,
Z Gualaquizy Kiwaros, z Indanzy kiwaros,
Mendez szíłora apacíszia aszí
z Mendez Kiwaros, chrześcijanie też wszyscy
játcuru játcuru. Jusa hi aszi immuji
bracia bracia. Boga oko wszystko widzi;
annendańszia immuji achú aszí nekáwajtam.
serce także widzi; O wszystko mądry.

Szilora jatcuruciru. Amle maatciajtam?
Kiwarosie bracie mój! Ty zły jesteś?

Jusa assłettawaj. Amle płingarajtam? Jusa
Bóg cię bije. Ty dobry jesteś? Bóg

wacherawaj kwociat kwociat szuszattawaj.
cię kocha; wiele wiele ci podaruje.

Szilóraszja. Attum nämank jameika puchawaj
Kiwarosowie! Wasze ciało dzisiaj żyje;

kaszin chakattawaj. Attum wakani cha
jutro umrze. Wasza dusza jednak

attakt puchattawaj chakatciawaj. Sziloraszja
jeszcze żyć będzie; nie umrze. Kiwarosowie

jatcuciru! antatdarum; Jusa jaki, nungłá
braciszkowie! słuchajcie! Bóg w górze, na dole,

chłink, cheatcia puchawaj aszi puchawaj.
tu, tam żyje; wszędzie żyje.

Jusa cheea parájsłuitji. Igłánci nungłá
Boga dom niebo jest. Dyabeł na dole

puchawaj. Achú ti maátciajtji Amignu
żyje. On bardzo zły jest, twój

manájtiram. Igłánci heea inhierujtji. Płingara
wróg. Dyabła dom piekło jest. Dobry

szilora urúm niaszi hakún Jusaheim
Kiwaros po wiele martwem z Bogiem

Parajsu wisziatawaj. Płingartcia szilora
do raju pójdzie. Zły Kiwaros

urúm niaszi hakám Igłánciheim inchiernu
po ciele martwem z dyabłem do piekła

untátawaj... Jusa cikicikitji Jusa manaindjutji
pójdzie... Bóg jeden jest; Bóg potrójny jest;

Jusa aparitji Jusa ucinjitji Jusa Espiritu
Bóg Ojciec jest; Bóg Syn jest; Bóg Duch

santojtji. Cikiciki Jusa manaindju aentcu...
święty jest. Jeden Bóg; trzy osoby...

Jusa ucinjuri ejszmangantji Santa
Bóg Syn człowiekiem się stał; ze Świętej

Maria nihejtciu hurermjawaj puchamawaj
Maryi Panny się urodził; żył;

kwociat nachanamjawaj winjangari hakamjawaj
wiele cierpiał; na krzyżu umarł;

mananidu tcawaj urum attakt puchamjawaj
w trzy dni potem znowu żył;

nuke haká cjatawaj. Kunjik Jusa Ucinjuri
nigdy nie umrze Tak Bóg Syn

wiszia attimamjawaj aszi eiszmangan
nas wybawił wszystkich, mężczyznom,

nułanszja kachinmatkimjawai. Jusa uciri
kobietom przebaczył. Bóg Syn

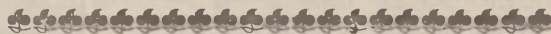
eiszmang Hesu Kristojtji. Achú aszi
człowiek Jezus Chrystus jest. On wszystkich

kepetnitji. Achú winia ulunta jatcurujtji.
kapitan. On nasz wielki brat jest.

Achún nikachaj achún wachaschaj achún
W niego wierzę; od niego się spodziewam; jego

wacherachaj kunjik achúheim Paraisu maagke
kocham. Tak z nim w raju dobrze

puchatawaj. Chadkchjata.
żyć będę. Tak niech się stanie.



Z NASZEGO SKARBCA

czyli odpusty, jakie Pomocnicy Salezyańscy zyskać mogą w miesiącu październiku.

Pomocnicy Salezyańscy, którzy wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunię św. nawiedzą nabożnie jaki kościół, lub kaplicę publiczną i tam na intencyę Ojca św. się pomodlą, zyskać mogą w miesiącu październiku następujące odpusty;

A. — *Zupełne:*

a) W dzień Matki Boskiej Różańcowej (7. października).

b) » » w którym się wpiszą do Związku Pomocników.

c) Raz na miesiąc w dniu przez każdego dowolnie obranym.

d) Raz na miesiąc w dniu, w którym wezmą udział w konferencyi salezyańskiej.

e) Raz na miesiąc w dniu, w którym odprawią ćwiczenie t. zw. dobrej śmierci.

f) W dniu, w którym się po raz pierwszy poświęcą Najśw. Sercu Jezusowemu.

g) Ilekroć przez ośm dni z rzędu odprawią rekollekcye.

h) W godzinę śmierci, jeśli wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunię św., lub co najmniej wzbudziwszy akt skruchy ustnie, lub przynajmniej sercem wezwą nabożnie Najśw. Imienia Jezus.

B. — *Cząstkowe.*

a) Ilekroć odnowią poświęcenie siebie samych Najśw. Sercu Jezusowemu.

b) Ilekroć uczyć będą bliźnich służyć do Mszy św.

c) Odpusty 300 dni, ilekroć wzbudziwszy conajmniej serdeczy akt żalu, spełnią jaką praktykę nabożną.

Wszystkie powyższe odpusty można ofiarować za dusze w czyscu cierpiące.

WIADOMOŚCI POTOCZNE

DASZAWA. — Daleko wspanialej, niż w inne lata, wypadło tego roku święto Najsł. Serca Jezusowego odprawione w tutejszym nowicyacie salezyańskim dnia 8. lipca. Po raz pierwszy widziała Daszawa w tym dniu piękną, wzruszającą uroczystość prymicyjną. Solenizantem był członek Zgromadzenia salezyańskiego ks. Stanisław Pływaczyk. Po sześciu latach uciążliwej pracy pedagogicznej w obu naszych polskich zakładach stanął u celu swych pragnień i dnia 1. lipca z rąk Najprzew. ks. arcybiskupa Bilczewskiego w Lwowie otrzymał święcenia kapłańskie. Uroczystość nie była świętem lokalnem ; w dalekim Oświęcimiu, po różnych wioskach i miastach naszej Polski niejeden uczeń prymicyanta przypomniał sobie w tym dniu trudy ulubionego nauczyciela i słał mu gratulacye i życzenia.

O godzinie 10-tej poprowadzono z procesyą księdza prymicyanta w szatach kapłańskich ze zakładu do kaplicy. Orkiestra z Jajkowiec szła na czele pochodu i towarzyszyła pieśni nabożnej płynącej z ust naszego ludu. Asystował Przewielebny ks. prałat Trzopiński. Czułe kazanie okolicznościowe wygłosił towarzysz prymicyanta ks. Walenty Kozak. Przy obiedzie było kilka toastów gratulacyjnych. Po nieszporach i krótkiej nauce ks. Augusta Hlonda zagajono wieczorek deklamacyjny i muzyczny. Odczyty kleryków były wzorowo opracowane a co najwięcej uderzało, pomimo rozmaitości formy i układu, stanowiły harmonijną całość. Dobrego smaku dowodziły również wybór i wykonanie produkcyi muzycznych, zaczerpniętych w przeważnej części z utworów wielkich klasyków. Po przemowie ks. prałata Trzopińskiego zakończono posiedzenie. — Po kolacyi urządzono illuminacyę.

Późnym wieczorem wśród grubych ciemności posuwała się zwolna ku wzgórzu dziwna procesya. Uczestnicy nieśli na kijach oświetlone baloniki kolorowe. Wszyscy skupiali się około tronu, na którym leżało wielkie serce przebite setkami ostrych, długich cierni. Po cichych polach i wzgórzach i dolinach rozlegała się nuta rzewnej pieśni. Przed świetlistym ołtarzem na wzgórzu zatrzymała się fala pobożnych. Ks. prałat Trzopiński wskazał to serce zranione, wezwał wszystkich, aby powyrywali z niego ciernie, a zdobili różami. Po jednemu przystępowano do tronu; kolce znikały, a na ich miejscu pojawiały się róże i polne kwiaty. I znów wśród ciemności posuwała się procesya do domu, gdzie na pożegnanie wypowiedział zaimprowizowaną gorącą mówkę o Salezyanach i ich działalności Przew. ks. Klein, proboszcz w Machlińcu.

OŚWIĘCIM. — Dawno już się w naszem mieście tak nie roiło od gości, jak w uroczystość św. Jacka, 19. sierpnia b. r. Wszystkie trzy zabory miały wielu przedstawicieli. W kościele salezyańskim bez przerwy następowały po sobie Msze św. Konfesyonały od samego rana chwiały się pod natłokiem penitentów. Sumistą był szczery przyjaciel zakładu Przew. ks. Hanusiak, proboszcz Poręby. Wielebny ks. Graca przemówił gorąco do ludu o cnotach św. Jacka. Śpiew i orkiestra dęta powagą i doborowym programem odpowiadały uroczystemu nastrojowi dnia. Oprócz duchowieństwa miejscowego i okolicznego witaliśmy u siebie Przew. ks. posła Szpondra. — Po nieszporach kilkotysięczna rzesza udała się poza miasto na boisko, gdzie, z inicyatywy śląskiego kółka gimnastycznego "*Sokół*" oklaskiwane drużyny sokołów z Galicyi, Śląska i Królestwa urządzały ćwiczenia popisowe.

TURYN. — Z Rzymu nadeszła wiadomość, że zwykły proces beatyfikacyi wielkiego sługi Bożego *księdza Józefa Cafasso, spowiednika ks. Bosko*, został przez Ojca św. i Kongregacyę Obrządków przyjęty i zatwierdzony. Wskutek tego można księdza Cafasso nazywać *Wielebnym*.

Ks. Cafasso urodził się 15. stycznia 1811 r. w Castelnuovo d'Asti, rodzinnem miasteczku ks. Bosko, który był młodszy od niego o cztery lata, ale tak sobie cenił jego pobożność i cnoty, że zbliżał się do niego z największem uszanowaniem, jako do ojca. Wybrał go też na swego kierownika duchownego, któremu się przez 25 lat zwierzał z tajnikami swego serca. Ks. Cafasso tak umiał jego duszą kierować, że swojemi radami i zachętą nie mało się przyczynił do stworzenia Zgromadzenia. W młodszych latach ks. Bosko spędzał w jego bibliotece prawie codziennie po 4 i 5 godzin. Przytem prawie zawsze pukał do drzwi jego pomieszkania, radził się, ulegał mu we wszystkiem, nie tylko w sprawach sumienia, ale także w zarządzie Oratoryum. Prawie zawsze wynosił nawet pieniężne zasiłki. Aż do śmierci słuchał go bezwarunkowo, bez zastrzeżenia. Gdy odczuwał takie znużenie, że chodził jak obłąkany, ks. Cafasso umiał jednem słowem, jednem spojrzeniem, uśmiechem, skinieniem odświeżyć w nim sterane siły i zachęcić do wytrwałości i wolnego męczeństwa. Często zauważono, że prowadzą długie, tajne rozmowy. Na jednej z nich w styczniu 1851 r. na pytanie swego mistrza rzekł nasz Ojciec: „Nie całe dziesięć lat życia pozostaje Księdzu Dobrodziejowi." I spełniło się jego przeczucie.

Ks. Cafasso troszczył się o ks. Bosko, jako o syna, cenił go wysoko i kochał. Gdy w początkach swego życia kapłańskiego ks. Bosko był niespokojny, bo nie wiedział, czy wstąpić do zakonu, do którego czuł pociąg, czy służyć Bogu w innym stanie, ks. Cafasso spojrzał mu w oczy i tonem nacechowanym ojcowską powagą rzekł: ,,Mój drogi księże Bosko! Porzućcie myśl wstąpienia do zakonu! Pracujcie nad młodzieżą, bo taka jest wola Boża, a nie inna.''

Pewnego razu kilku przyjaciół ks. Bosko udało się do ks. Cafassso, aby mu przedstawić, że należałoby polecić księdzu Bosko, by założył pewne granice swej rzutkiej gorliwości. Ks. Cafasso uśmiechnął się, i z największym spokojem słuchał podobnych żalów i kończył zawsze tak: ,,Nie stawiajcie mu przeszkód! Dajcie mu spokój!''

Krótko przed swą śmiercią napisał te słowa: ,,Gdy zstąpię do grobu, pragnę i proszę P. Boga, aby na ziemi zginęła moja pamięć, aby już nikt o mnie nie myślał prócz tych wiernych, którzy w swej miłości zechcą, jak się spodziewam, modlić się za moją duszę. Jako pokutę za swe grzechy przyjmuję wszystko to, co się po mej śmierci w świecie przeciw mnie powie.''

Ks. Cafasso umarł 23. czerwca 1860 r. W Oratoryum miał się tego dnia odbyć wielki obchód imienin ks. Bosko. Z jego rozkazu zostały wszystkie uroczystości zawieszone: cały zakład przyoblókł się w żałobę. Ks. Bosko ze łzami w oczach zawiadomił młodzież o śmierci swego spowiednika i wezwał ją, aby jak najobfitszemi modlitwami odwdzięczyła się wielkiemu dobrodziejowi.

Zupełnie inaczej przemawiał nasz Ojciec, gdy 10. lipca 1860 r. odprawiono w Oratoryum uroczyste nabożeństwo żałobne za ks. Cafasso. Wprawdzie nazwał jego śmierć *nieszczęściem dobrych*, *ciosem dla kleru*, *klęską biednych*, *publiczną katastrofą religii*, ale potem rzekł: ,,Porównywując chorobę i śmierć ks. Cafasso z ostatniemi chwilami św. Karola Boromeusza, św. Franciszka Salezego, św. Filipa Nereusza i innych wielkich świętych, zdaje mi się, że mogę z całą pewnością twierdzić, iż jego śmierć była równie drogą w oczach Bożych. Bo czy może być inaczej? Skoro równie świętem było jego życie, dlaczego nie miałaby być równie święta jego śmierć?

,,... Drogi księże Cafasso! Chciałeś, aby twoja pamięć zginęła na świecie, aby twoje imię przepadło w grobie. Ta twoja modlitwa nie będzie wysłuchana. Bóg chce wywyższyć twoją wielką pokorę, chce ją uwieńczyć w niebie. Pamięć twoja jest pamięcią sprawiedliwego, która trwa na wieki. *In memoria aeterna erit justus.*

,,Twoja pamięć żyć będzie wśród kapłanów, bo byłeś ich wzorem życia i mistrzem umiejętności Bożej. Twoja pamięć żyć będzie wśród biednych, którzy cię opłakują, jako czułego ojca; żyć będzie u dusz dręczonych niepokojem, którym udzielałeś rad świętych i zbawiennych; wśród udręczonych, których w rozmaity sposób wspierałeś; żyć będzie u konających, których pocieszałeś; we więzieniach, gdzie osładzałeś życie; u tylu skazańców, których sposobiłeś na śmierć. Twoja pamięć żyć będzie u przyjaciół, a przyjaciółmi twymi są wszyscy ci, którzy cię znali; żyć będzie u wszystkich tych, którzy szanują wielkich dobrodziejów ludzkości... Wreszcie twoja pamięć żyć będzie u nas, bo pewni jesteśmy, że z nieba, gdzie na chwalebnym tronie zasiadasz, będziesz zawsze naszym opiekunem.''

Tak mówił ks. Bosko przed 46 laty. Dziś widzimy, że jego słowa nie tylko były dowodem wielkiej miłości i szacunku, ale miały głębsze znaczenie i zapowiadały przyszłą chwałę księdza Cafasso w Kościele Bożym.

MEDYOLAN. — *Echo V. Kongresu Pomocników Salezyańskich.*

UDZIAŁ. Listownie zgłosiło swój udział 22 kardynałów i przeszło 100 biskupów. Ojciec św. przysłał następujące brewe:

Drogiemu Synowi Prezydentowi Generalnego Kongresu Pomocników Salezyańskich w Medyolanie.

PIUS PAPIEŻ X.

Pozdrowienie i Apostolskie Błogosławieństwo.

Z największą radością poinformowani zostaliśmy, że w Medyolanie odbędzie się wiec tych, którzy się już po całym świecie szczycą chlubną nazwą Pomocników Salezyańskich — celem zastanowienia się nad rozkwitem Pobożnego Stowarzyszenia i ratowania porządku religijnego i społecznego.

Jak nadzwyczaj życzliwie usposobieni jesteśmy dla tych Kongresów, na to macie dowody we wspomnieniach poprzednich zjazdów, w naszej stałej przychylności dla Salezyanów i w samym programie, który na zebraniach postanowiliście rozwinąć. Stwierdziliśmy bowiem, że przysłane nam tematy są niezmiernej wagi i dotyczą powszechnego dobra, jak n. p. wychowanie młodzieży szkolnej i rzemieślniczej, materyalne i duchowe ratowanie tłumów ludu, kwestya opieki nad wychodźcami, a wreszcie ewangelizacya i cywilizacya dzikich ludów. Jesteśmy zatem bardzo zadowoleni, że postanowiono te sprawy na zjeździe przestudyować i pochwalamy inicyatorów, którzy troszczą się o rozwój Pobożnego Stowarzyszenia, a równocześnie bardzo trafnie liczą się z potrzebami czasu.

Życzymy sobie więc najgoręcej, aby Kongres doczekał się najpomyślniejszego wyniku i uważamy już za rzecz pewną, że liczba i pracowitość członków nie zawiodą naszych nadziei. Niech Was Dobroć Boża oświeca łaskawie podczas uchwalania wniosków obfitym zdrojem światła niebieskiego. Jego zadatkiem i dowodem naszej życzliwości niechaj będzie Błogosławieństwo Apostolskie, którego z całego serca udzielamy w Panu tobie i poszczególnym uczestnikom Kongresu.

Dan w Rzymie u św. Piotra, 22. maja 1906 r., trzeciego naszego Pontyfikatu.

PIUS PAPIEŻ X.

PRZEBIEG KONGRESU. — Dzień pierwszy. — 2. czerwca. — *Posiedzenie ranne* zajmujące się opieką nad emigrantami i wychowaniem ludu (przez kaplice świąteczne, szkółki gimnastyczne i t. d.), odbyło się w pałacu arcybiskupim pod przewodnictwem ks. arcybiskupa Morgantiego.

Zaczęto od dyskusyi na temat opieki nad wychodźcami. Ksiądz prałat Locatelli zdał sprawę z posiedzeń komisyi i przedłożył Kongresowi szereg ważnych wniosków. — Ksiądz Dominik Passi omawiał pięknie kwestyę popularnego kształcenia i wychowywania młodzieży i zadanie kaplic świątecznych. W dyskusyi ks. arcybiskup Morganti podkreślał życzenie, aby Pomocnicy Salezyańscy przekonali się, że więcej od innych powinni pracować na niwie miłosierdzia chrześcijańskiego. Ksiądz prałat Locatelli uwydatnił konieczność kursu rachunkowości po szkołach parafialnych; ks. prof. Merisi obszernie się rozwodził nad utworzeniem kolonii wakacyjnych i zwrócił się w tym względzie z prośbą o gościnność do domów salezyańskich położonych w górzystych okolicach. Ksiądz dr. Garelli podniósł znaczenie zabaw szportowych, muzyki i dramatyki we wychowaniu, uznał te środki za zgodne z programem ks. Bosko i prosił o uchwalenie odpowiednich wniosków.

Zebraniu popołudniowemu przewodniczył ksiądz prałat Balconi. Zastanawiano się nad młodzieżą szkolną (kollegia, schroniska, pensyonaty), nad młodzieżą rękodzielniczą (szkoły i zakłady zawodowe) i nad misyami salezyańskiemi.

Profesor Arduino, udowodniwszy, że społeczne odnowienie w duchu religii chrześcijańskiej musi iść koniecznie w parze z ratowaniem młodych pokoleń, zwłaszcza tych, którzy przez studya wybiją się na naczelne stanowiska społeczne, wezwał zebranie do zatwierdzenia następujących dwóch wniosków, które jednomyślnie przyjęto:

1) Pomocnicy Salezyańscy będą wszystkimi prawnymi środkami bronili wolnej szkoły i poszanowania obowiązkowej nauki religii przynajmniej o tyle, o ile w różnych państwach ustawy szkolne przyznają tej nauce prawo bytu;

2) Rodzice nie powinni powierzać swych dzieci pierwszej lepszej szkole lub instytucyi. Zły wybór zakładu naukowego jest zdradą dzieci. Jest również powinnością rodziców zwalczać wszelkimi sposobami nadużycia liberalnych nauczycieli, którzy godzą na najdroższy skarb wierzeń religijnych.

Ksiądz Grugni rozwiódł się w pysznej mowie nad sytuacyą młodzieżyręko dzielniczej. Jego wnioski tyczyły się głównie szkół zawodowych. — Adwokat Gallavresi opiewał w mowie okraszonej polotem poetyckim zasługi misyi salezyańskich. Ksiądz Tri-



Z Misyi ks. St. Cynalewskiego.
W imię Ojca... (Chłopcy ze szczepu *Tehuelches* w *Pampa Central.*

one wyłuszczył akcyę wspierania trudów nowoczesnych misyonarzy-bohaterów.

Zebranie Pomocnic Salezyańskich odbyło się tego samego dnia po południu w kaplicy arcybiskupiej wobec księży arcybiskupów Morgantiego i Cagliero i Najprzew. księdza Rua. — Zabrała głos hrabina Rosa di S. Marco. Mowiła z życiem, z entuzyazmem, porywająco. Wychodząc ze zasady, że kobieta jest z istoty swej towarzyszką i pomocnicą mężczyzny, dowodziła, że i świat żeński powinien czynnie zająć się urzeczywistnieniem programu Piusa X.: *instaurare omnia in Christo*. Ksiądz Bosko, wzywając do

pomocy kobietę, hołdował prawu przyrodzonemu i dlatego znalazł w kobiecie olbrzymią podporę. — Ksiądz arcybiskup Morganti zgadza się zupełnie na wywody hrabiny i winszuje paniom medyolańskim wielkiego powodzenia. — Ksiądz arcybiskup Cagliero dodał kilka słów zachęty i podzięki. — Ksiądz Rua oświadczył wyraźnie, że z Medyolanu wynosi zawsze najlepsze wrażenie.

Dzień drugi. — 6. czerwca. — *Posiedzenie ranne* odbyło się w pałacu arcybiskupim. Przewodniczył ks. arcybiskup Morganti. Przedmioty: wychowanie rolnicze — komitety żeńskie — różne wnioski — miesiąc Najśw. Serca Jezusowego.

Ksiądz Trione w zastępstwie adwokata Mauriego wykładał znaczenie kolonii rolniczych i pism salezyańskich poświęconych sprawom agronomicznym. O doniosłości i zadaniu żeńskich komitetów salezyańskich mówił ks. arcybiskup Morganti i przedłożył kilka wniosków, które po ożywionej dyskusyi z niektóremi poprawkami jednogłośnie uchwalono. W końcu odczytano i przyjęto rezolucyę zredagowaną na podstawie odezwy nadesłanej do Kongresu z Dyrekcyi Apostolstwa Miesiąca Najsł. Serca Jezusa:

Zważywszy:

że nabożeństwo do Serca Jezusowego jest w naszych czasach opatrznościowem nabożeństwem jednostek i społeczeństwa;

że święcenie miesiąca czerwca najsilniej na rozkrzewienie nabożeństwa wpływa;

że szczególniejsze węzły pokrewieństwa duchownego i społecznego zadania łączą Pomocników Salezyańskich z Apostolstwem miesiąca czerwca;

że V^ty Kongres Pomocników może nie bez osobliwego zrządzenia Opatrzności został zwołany w pierwszych dniach czerwca;

V^ty Zjazd Pomocników Salezyańskich uchwala wniosek, aby wszyscy Pomocnicy i Pomocnice Salezyańcy na całej kuli ziemskiej byli apostołami miesiąca czerwca, aby za ich sprawą nabożeństwo to stało się jak najprędzej praktyką wszechświatową.

Na *Plenarne Posiedzenie* zebrał się w kościele św. Celestyna przy ulicy *Senato* o godz. 2·30 po południu nadzwyczaj liczny tłum Pomocników i Pomocnic z całych Włoch i innych krajów. Na miejscach honorowych widziano jednego kardynała, trzech arcybiskupów, licznych prałatów, wyższą kapitułę salezyańską z księdzem Rua na czele, deputacyę miejską i t. d.

Na trybunę wszedł architekt inż. Nava i dowodził wymownie społecznego znaczenia rozlicznych i rozmaitych instytucyi księdza Bosko. Częste oklaski przerywały wspaniałą mowę. — Ksiądz prałat Locatelli omawiał z niezwykłym polotem i werwą cywilizacyjne i religijne zasługi misyi salezyańskich. — Ksiądz Rua wyrażał swą wdzięczność wszystkim inicyatorom, mówcom i uczestnikom zjazdu. — Na samym końcu przemówił ksiądz kard. Ferrari, wzywając wszystkich Pomocników do dalszej pracy w ciężkich czasach.

Dzień ostatni. — 7. czerwca. — Zakończono zjazd uroczystem nabożeństwem w nowopoświęconym kościele salezyańskim św. Ambrożego przy ulicy Kopernika. Celebrowało trzech arcybiskupów. Podczas sumy wszedł na ambonę jeden z najwybitniejszych mowców medyolańskich ks. prałat Pogliani. Mówił długo o wpływie Najśw. Wspomożycielki Wiernych na dzieła salezyańskie. Zakładowa *schola cantorum* wykonała bardzo poprawnie mszę *in honorem S. Augustini*, umyślnie na tę uroczystość napisaną przez maestra Doniniego, dyrektora chóru w Loreto.

Zebranie byłych uczni. — Około godziny 2^giej po południu odbyło się w kaplicy zakładowej posiedzenie byłych uczni salezyańskich z Lombardyi. Są to dziś przeważnie księża. Ułożono i po krótkiej dyskusyi entuzyastycznie uchwalono statut *Towarzystwa byłych salezyańskich uczni lombardzkich*. Przystąpiono zaraz do wyboru wydziału. Po wysłaniu telegramu do Ojca św. i ułożeniu adresu do ks. kardynała metropolity rozwiązano zebranie.

Wieczorek finałowy rozpoczął się pod portykiem zakładu o godzinie 4^tej. Nie wszyscy goście mogli się pomieścić. Przybyło dwóch arcybiskupów, wielu prałatów i przełożonych Zgromadzenia. Program był pod względem deklamacyi i muzyki bardzo urozmaicony. Największe wrażenie zrobiły mowy księdza dra Ottonello i telegram Ojca św., którego wysłuchano stojąc:

Kardynał Ferrari arcybiskup w Medyolanie. Ojciec św. wdzięcznie przyjął wyrazy hołdu V^go Kongresu Pomocników Salezyańskich i, stwierdzając ponownie swą życzliwość, udziela żądanego błogosławieństwa.

Kard. MERRY DEL VAL.

Ostatnie słowo wypowiedział ks. arcybiskup Morganti. Nigdy jeszcze nie mówił z takim zapałem. Co chwila wyrywały się słuchaczom głośne okrzyki i oklaski.

Oby się ziściły nadzieje, które Ojciec św., Zgromadzenie i życzliwi pokładali w V^tym Zjeździe Pomocników Salezyańskich!





ŁASKI
Najświętszej Maryi Panny
Wspomożenia Wiernych.

Jesteśmy przekonani, iż w bolesnych wydarzeniach bieżących czasów nie pozostaja nam inne pociechy, jak tylko niebieskie, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej błogosławionej, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan.

PIUS X.

***

W jesieni rozchorowałam się na płuca. Byłam samotną, zdala od wszystkich swoich, wśród bardzo niekorzystnych warunków. Choroba moja przewlekała się i trwała przez całą zimę. Modliłam się wówczas ciągle do Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych, prosząc już nie tylko o wyzdrowienie, ale równocześnie o pomoc materyalną. Uczyniłam więc postanowienie, że złożę podziękowanie w *Wiadomościach Salezyanskich*, jeżeli wszystko złe przemieni się na dobre. Ale przyrzeczenia nie dotrzymałam, jakkolwiek za przyczyną Wspomożycielki wszystko jak najpomyślniej wynikło dla mnie i pod koniec zimy z choroby płuc zupełnie wyleczoną byłam. Może dlatego, że przyrzeczenia nie dotrzymałam, zesłał Bóg na mnie w miesiącu marcu drugą ciężką chorobę. Wycienczona i osłabiona już poprzednią prawie liczyć nie mogłam na to, abym chorobę tak ciężką, jak tyfus, przetrwać mogła, tem bardziej, że choroba płucna znów się odnowiła. Wtenczas poleciłam się ponownie opiece Wspomożycielki, prosząc również o wstawienie się za mą św. Józefa, gdyż Jego czci właśnie był poświęcony miesiąc, w którym zachorowałam i ponowiłam przyrzeczenie, że podziękuję publicznie, jeżeli wyzdrowieję W chorobie doznawałam po wiele razy szczególniejszej opieki Matki Najświętszej, gdy gorączka się wzmagała lub następowało pogorszenie. A choć chorowałam wśród ludzi obcych i nie zbyt życzliwie dla mnie usposobionych, to jednak za widoczną i cudowną przyczyną Matki Boskiej przetrwałam szczęśliwie chorobę. Przez cały czas tej choroby prosiłam Wspomożycielki o różne inne łaski tak dla dobra własnego, jako też i dla osób innych, a wszystkie prośby moje wysłuchane zostały. Po chorobie znalazłam się znów w dość krytycznem położeniu materyalnem i tą razą Najświętsza Panna uratowała mię w nadspodziewanie pomyślny sposób. A jednak i teraz okazałam się niewdzięczną do tego stopnia, że podziękowania publicznego nie złożyłam. Więc po raz trzeci spadła na mnie kara. Przyszła jakaś dziwna choroba w lewą nogę, na którą żadne środki lecznicze nic nie pomagają. Pomimo mnóstwa przeróżnych zabiegów, choroba ustąpić nie chce. Uważając to za surowe upmnienie, iż zaniedbałam przyrzeczenia złożonego Bogu, składam obecnie najpokorniejsze podziękowanie za tyle przeróżnych cudownych łask, jakie w ostatnich kilku miesiącach życia mego Wspomożycielka Wiernych mnie niegodnej bezustannie wyświadczyła, a zarazem, oddając się nadal w Jej macierzyńską opiekę, wierzę i ufam, że mię podźwignie i teraz jeszcze z obecnego stanu choroby.

Kosów (Galicya), 16. czerwca 1906 r.

E. Dobrzańska.

***

Najserdeczniejsze publiczne dzięki składam Matce Najświętszej Wspomożeniu Wiernych za łaskę, jaką za jej przyczyną doznałam.

W kwietniu zachorowała mi jedyna córka na zapalenie wewnętrzne, (*appendicitis*) i pomimo wszelkiej lekarskiej pomocy operacya stała się konieczną. Doktor, który operował powiedział sam, że jeśli wyzdrowieje, to stanie się cud. Jakoż od znajomej dowiedziałam się o modlitwach zanoszonych przez XX. Salezyanów do Matki Boskiej; przesłałam natychmiast skromny datek z prośbą, aby wyprosili mi zdrowie i życie dla córki, która po 6ciu tygodniach pobytu w szpitalu, gdzie zwalczyła dwie śmierci, jest teraz w domu i prawie zupełnie do zdrowia i mocy przyszła, za co Bogu i Matce Najświętszej składam dzięki.

Milwaukee, Wis., U. S.

Pelagia Heller.

***

Za wszystkie, a bardzo wielkie łaski uproszone przez Najśw. Maryę Pannę Wspomożenia Wiernych u Najsłodszego Serca Pana Jezusa dla jednego z członków mojej rodziny, dziękuję

Tejże Przemożnej Orędowniczce najpokorniej z głębi przejętego najżywszą wdzięcznościa serca. Dziękuję również Matce Najświętszej gorąco za wszystkie inne łaski, tak doczesne, jak duchowe, za pośrednictwem nowen dziatwy X. Bosko otrzymane.

Czernichów (Galicya) 28. sierpienia 1906.

Z. BIRKENMAJEROWA, Zelatorka Salez.

***

Ciężko zachorowała mi córka, a nie było żadnej nadziei, by przy życiu została. Udałem się przeto z prośbą do Najsłodszego Serca Jezusowego i do Matki Boskiej Wspom. Wiernych, przyrzekłszy, jeżeli mi córka ozdrowieje, dam na Mszę św. dziękczynną i od tego czasu córka przychodziła do zdrowia i dziś jest już zupełnie zdrowa. Wywięzując się z uczynionej obietnicy, pełen serdecznej wdzięczności ku Maryi Wspomożycielce Wiernych posyłam skromną ofiarę i proszę zarazem to ogłosić w *Wiadomościach Salezyańskich.*

Bytków, dnia 16. lipca 1906.

MALCHER PIEGSA.

***

Czyniąc zadość danej obietnicy, sercem przepełnionem wdzięcznością zasyłam tysiąckrotne podziękowanie Najsłodszemu Sercu Jezusa i Niepokalanemu Sercu Najśw. Maryi Panny za wyzdrowienie z ciężkiej choroby naszych dziatek, dla których lekarze nie robili żadnej nadziei wyzdrowienia. W tak krytycznem położeniu, udałam się do Najśw. Maryi Panny Wspomożenia Chrześcijan i zamówiłam dwie Msze św. w naszym kościele do Tej Najświętszej Matki, że jeżeli mię wysłucha w tak wielkiej potrzebie, to ogłoszę w *Wiadomościach Salezyańskich.* Zaraz na drugi dzień po Mszy św., gdy powróciłam z kościoła do domu, to już dziatkom było lepiej, i teraz są zupełnie zdrowe. Polecając się zatem Najśw. Sercu Jezusa i Najśw. Maryi Pannie, aby nas i nadal strzegli i mieli w swojej opiece przysyłam w tej intencyi na Msze św.

Winona, Minn (Stany Zjednoczone),
26. czerwca 1906 roku.

JÓZEFA KIEDROWICZOWA.

***

Wywięzując się z danego przyrzeczenia składam stokrotne podziękowanie Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Matce Jego Najśw. Wspomożeniu Wiernych, za uleczenie mnie z niebezpiecznej choroby. Zeszłego roku dostałam powtórnie zapalenie w gardle. Udałam się tedy do Najśw. Panny Maryi i Najsłodszego Serca Pana Jezusa, a choroba już nie powróciła więcej i zupełnie wyzdrowiałam.

Gr. Katz (Prusy Zachodnie).

MAŁGORZATA GRABIŃSKA.

Marya nikogo nie opuszcza.

Mając powołanie do stanu Zakonnego, prosiłam Matki Bożej, abym tę łaskę mogła otrzymać. Posłałam na ten cel na Mszę św. i nowennę. I oto, któżby uwierzył! — po wielkich trudnościach, jakie miałam, ta Matka moja dobra dokończyła dzieła rozpoczętego, bo prawie w Jej święto wstępuję w grono Oblubienic Jej Syna. Oby wszyscy w przykrościach swoich uciekali się do Tej Matki Miłosierdzia, a niewątpliwie zawsze zostaną wysłuchani!

Cześć i chwała niech będzie zawsze Tej Królowej miłosierdzia.

Podgórze (Galicya).

ANIELA ANTOZIEWICZÓWNA.

Oby cześć Maryi cały głosił świat!

Z początkiem lipca spodziewaliśmy się choroby żony; lekarz z Trzebini orzekł, że tu nie obejdzie się bez poważnej operacyi, i odesłał nas do Krakowa; tu również konsylium lekarskie z profesorem na czele orzekło bezwarunkową operacyę. W tak wielkiem zmartwieniu, mając szczególne nabożeństwo do Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych, której łask już kilkakrotnie doświadczyłem, z pokorną modliwą udałem się do Niej, i przyrzekłem posłać na wotywę i prosić o umieszczenie tego zdarzenia w *Wiadomościach Salezyańskich.* Modlitwy nasze zostały wysłuchane! W dniu 3. lipca żona powiła syna bez lekarskiej pomocy i operacyi. Dziecię zdrowe i żona zdrowa. Prawdziwy to cud Boży! Wdzięczność nasza dla Najświętszej Matki jest nie do opisania, chcielibyśmy, by świat cały wiedział o tem cudownem zdarzeniu dla tego prosimy o wotywę, na którą właśnie te 5 koron przeznaczyliśmy, i o stosowne zredagowanie i umieszczenie tej łaski w *Wiadomościach Salezyańskich*, by cześć Maryi Najświętszej rosła i cały ogarnęła świat.

Pozostając wiernymi sługami Maryi
kreślimy się z poważaniem

Płoki (Galicya), dnia 31. lipca 1906 r.

KAROLINA i RUDOLF LUBACZEWSCY

***

Jeszcze w listopadzie przyobiecałam sobie, gdy mama dostała wybuchu krwi i ciężko zesłabła, że gdy Matka Najświętsza wysłucha mych próśb i uprosi Jej jeszcze życia, przesłać 5 koron na Mszę św. dziękczynną przed obrazem Matki Wspomożenia Wiernych, a 5 na cele salezyańskie.

Widać, że Matka Najświętsza wysłuchała mych niegodnych próśb, bo mama nadzwyczaj prędko podniosła się po tej chorobie, za co Matce Najświętszej składam publiczne podziękowanie i proszę umieścić to w *Wiadomościach Salezyańskich.*

A Ciebie, Matko ukochana, błagam byś nadal miała mamę w swej opiece i zachowała nam ją jeszcze przy życiu i zdrowiu.

Załączam również 5 K. z prośbą o nowennę, by moje prośby, które zanoszę do Matki Najświętszej, zostały wysłuchane, a w razie tego przyobiecuję jeszcze przesłać większą kwotę na cele salezyańskie.

Żmigród, d. 13. sierpnia 1906 r.

JADWIGA KUSIBIANKA.

***

Najśw. Maryi Pannie Wspomożycielce Wiernych wyrażam serdeczne podziękowanie za doznanie łaski wyzdrowienia dwóch synów z ciężkiej choroby; byli leczeni od dwóch lekarzy, a jednakże nie widziałem żadnej ulgi; z dnia na dzień choroba się powiększała tak, że nie było już żadnej nadziei wyzdrowienia. Więc w tej niedoli udałem się z ufnością do M. B. W. Wiernych i na tę intencyą ofiarowałem dać na Mszę świętą. I o cudo! skoro tylko posłałem kartkę z wspomnianą intencyą, zaraz od tego dnia poczęły dzieci być zdrowszemi bez żadnego lekarstwa, i dziś już są zupełnie zdrowe.

N. M. Pannie Wspomożenia Wiernych za tak wielce doznaną łaskę serdecznie dziękuję, i proszę to ogłosić we *Wiadomościach Salezyańskich.*

Szczakowa, 16. 8. 1906.

WINCENTY RUDOLF.

***

Wywięzując się z uczynionej obietnicy, składam publiczne podziękowanie N. Sercu Jezusowemu i N. Pannie Wspomożycielce Wiernych za różne dotąd otrzymane łaski, oraz polecając cały dom nadal Jej przemożnej opiece, załączam mą skromną ofiarę.

I. ROZSAY.

***

Posyłam skromne ofiary z podziękowaniem Najsłodszemu Sercu Pana Jezusa i Matce Najświętszej Wspomożeniu Wiernych za uzdrowienie mnie z ciężkiej choroby, która przez cztery miesiące cierpiałam; niejedna noc zdawała mi się już ostatnią, a to z powodu choroby Serca; jednakże Matka Najświętsza, Lekarka Niebieska, którą tak gorąco błagałam wraz z moimi dziatkami, odmawiając nowenne, raczyła mię wysłuchać i uzdrowić. Przeto przesyłam dwie korony na Mszę św. dziękczynną, a cztery na misye zagraniczne i proszę umieścić te kilka słów w *Wiadomościach Salezyańskich.*

Kamionka mała *(Galicya).*

EMILIA GROCHOLSKA.

***

Wywięzując się z przyrzeczenia, proszę łaskawie ogłosić w *Wiadomościach Salezyańskich* moje najgorętsze podziękowanie Matce Przenajświętszej, za wysłuchanie dwóch moich próśb. Posyłam zatem pzekazem 10 koron; na Msze św. dziękczynne 5 k. za jednę prośbę, 5 zaś za drugą. Proszę więc najuprzejmiej o rychłe ich odprawienie

Polecając się łaskawym modłom, całuję ręce wdzięczna służebnica.

Kańczuga, dnia 14, 8- 1906 r.

ZOFIA Z STAŃKOWSKICH FUSKOWA

***

Serdeczne dzięki składam Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za wszystkie łaski, które za Jej przyczyną otrzymałem. Wzałęczeniu posyłam 10 koron na odprawienie Mszy św. dziękczynnej, polecając się jednocześnie dalszej opiece Matki Najświętszej, reszta niech będzie obrócona na wzniosłe cele salezyańskie.

Kamionka (Galicya), 13. sierpień 1906.

Z wysokiem poważaniem

DOŁŻYCKI JÓZEF.

***

W pierwszych dniach czerwca br. miałem zasiadać do egzaminu dojrzałości gimnazyalnego. Z powodu różnych kłopotów przygotowanie moje było zupełnie niedostateczne, jak tego powaga egzaminu wymagała i byłem przygotowany na najgorszy. W ostatnich dniach czując, że dla krótkiego czasu nie nadrobię, poleciłam się Królowej Niebios i z otuchą, że pomoc Jej nie zawiedzie mię, zasiadłem do matury. Egzamin wypadł pomyślnie, wobec czego czując się zobowiązanym moim postanowieniom, że w razie pomyślnym, ten tak jawny dowód łaski Bożej ogłoszę w *Wiadomościach Salezyańskich*, załączając skromną ofiarę, upraszam o ogłoszenie tego faktu w *Wiadomościach.*

FR. Ł.

Dziękują Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezyańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

A. Marcinowski z Kołomyji *(Galicya)*; Katarzyna Czajkowska, Bołszowce *(Galicya)*; Marya Petraskowska z Donu *(Rosya)*; Franciszek Szczepański z Friedenshütte *(Górny Śląsk)*; Franciszek Brym z Friedenshütte *(Górny Śląsk)* za przywrócenie zdrowia; Marya G. z Wulki *(Galicya)*, za różne łaski otrzymane; I. K. z Grodziska *(Wielkie Ks. Poznańskie)*; Piotr Maselik

z Lasisk *(Górny Śląsk)*; Marya Moskalska z Jordanowa (*Galicya*); M. R., Krasne z Weclką (*Galicya*); Jadwiga Paszycka z Zagórzan *(Galicya)*; Maryanna Ziółkowska z Grodziska *(Prusy Zachodnie)*; Piotr i Anna Drzyzga z Miechowic *(Górny Śląsk)* i zasyłają ofiarę 10 Mrk.; Mikołaj i Marya Pirogowie z Łyśca (*Galicya*); Piotr Ciemięga z Maszkienic *(Galicya)* i posyłają 5 kor. na cele salezyańskie; Jan Spruta z Kobylina Starego (*Wielkie Księstwo Poznańskie*), za uzdrowienie syna Wawrzyńca; Jakób Szydłak, nauczyciel, z Grajowa (*Galicya*); Mikołaj Turecki, Malinisk a (*Galicya*); Józef i Marya Sorkowie ze Skawiny (*Galicya*); Józef Młynarski z Dąbrowicy (*Galicya*), za wyzdrowienie syna; Fr. B. z Łasina (*Prusy Zachodnie*), za wyzdrowienie z niebezpiecznej choroby i posyła ofiarę na Mszę św. dziękczynną; O. Hipolit Smiałowski z Kalwaryi Zebrzydowskiej (*Galicya*), za szczęśliwie dokonaną operacyę; Ks. Jan Szymceczko, Kraków-Podzamcze (*Galicya*); Władysław i Marta Śliwińscy, Polksen (*Prusy Zachodnie*); W. Z. ze Lwowa (*Galicya*), za uzdrowienie z bardzo ciężkiej choroby jej brata, któremu pomoc lekarska nic nie pomogła; Jan Korbel i Karolina Ceremuga z Cochoes *(Stany Zjednoczone)*, za odzyskane zdrowie; Wawrzyniec i Karolina R. Macakowie z Jordanowa (*Galicya*); Jakób Szydłak z Grajowa (*Galicya*), za pomoc i łaskę przy egzaminie kwalifikacyjnym oraz przesyła skromną ofiarę na cele salezyańskie; Rodzina Janaszewskich, Gostyń *(W. Ks. Poznańskie)*, za wysłuchanie próśb i uleczenie ich syna i brata z ciężkiej choroby umysłowej; Juliusz Kopiec, Miejsce (*Górny Śląsk*); Tomasz Lesznik z Gliwic (*Górny Śląsk*); Józef Pociej z Grybowa (*Galicya*); Ignacy Mikołajczak z Gołuchowa (*Prusy*); Julian Zaremski, Linówiec (*Prusy Zachodnie*); Marya Hawencka z *Poznania*; Jadwiga Skowronek, Sieroków (*Górny Śląsk*); Apolonia Ośnininska, Strzelno (*W. Ks. Poznańskie*) i posyła 5 mrk. na Mszę św. dziękczynną za łaskę uwolnienia z nader ważnej sprawy sądowej.

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św. URBANA VIII., *z 13 marca 1625 i 5 lipca 1634 w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść niniejszego pisma wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo.*





O regułę salezyańską.

Pius X uznał słuszność wywodów księdza Bosko, ale ponieważ sprawa miała pójść do Kongregacyi Biskupów i Zakonników, rzekł: „Najwięcej będzie kosztowało nawrócenie księdza prałata Svegliatiego."

Był to sekretarz wspomnianej Kongregacyi, głęboki znawca dekretów i kanonów. Umiał wszystkie rozporządzenia papieskie na pamięć i przestrzegał ich co do joty. Gdy ksiądz Bosko przedstawił mu się w kancelaryi Kongregacyi i w imieniu Ojca św. poprosił go o konferencyę, ksiądz Svegliati zimny i spokojny, jak prawo, bez okazania najmniejszego zaniepokojenia rzekł:

— Proszę siadać! Jestem na usługi Waszej Wielebności.

— Wiadomo Waszej Przewielebności, że mam zamiar założyć Zgromadzenie, któreby nie kolidowało z ustawami cywilnemi. Jego członkowie mają mieć te same prawa, co wszyscy inni obywatele, a wobec Kościoła będą rzeczywistymi zakonnikami. Przedłożyłem już swego czasu zarys Ustaw i uzyskałem tymczasowe zezwolenie. Obecnie chciałbym uzyskać zatwierdzenie definitywne.

W dalszym ciągu ksiądz Bosko wykładał obszernie cel i środki Zgromadzenia, ale ks. Svegliati jednem słowem obalał wszystkie wywody.

— A jednak Ojciec św.... zauważył ks. Bosko.

— Ojciec św. najlepiej zna swoje rozporządzenia, a nie jestem na tyle bezczelny, aby mu je przypominać.

A ponieważ główną nowość stanowił projekt pogodzenia prawa posiadania ze ślubem ubóstwa, ksiądz Svegliati wynajdywał niezliczone objekcye, uwydatniał sprzeczność obu pojęć i do porozumienia nie przyszło.

W dwa lata (1869) później ksiądz Bosko wybrał się znowu do Rzymu.

Ale rzeczy już się znacznie były zmieniły.

Ksiądz Svegliati od roku cierpi na bolesną chorobę wątroby i po wyczerpaniu wszystkich środków ludzkich uznaje, że tylko cudem może być uzdrowiony. Ksiądz Bosko, nie wiedząc o niczem, udaje się do jego pomieszkania w sprawie swej reguły. Gdy staje w drzwiach, ksiądz Svegliati woła do niego:

— Kiedyś mnie ksiądz Dobrodziej potrzebował, a teraz ja potrzebuję księdza. Jeżeli mnie Matka Boska uzdrowi z tej choroby, zrobię co tylko możliwem będzie, aby pomyślnie sprawę załatwić.

— Imieniem Wspomożycielki Wiernych obiecuję uzdrowienie. Pomodlę się i napiszę do Turynu, aby zaraz rozpoczęli szczególniejsze nabożeństwa.

— Proszę! Dlaczego sobie ksiądz Dobrodziej nie poczyna ze mną tak, jak z innymi? Wiem, że ksiądz udziela chorym błogosławieństwa. Proszę i mnie pobłogosławić.

To mówiąc, padł na kolana. Ksiądz Bosko wzruszył się i rzekł spokojnie:

— Błogosławię imieniem Matki Boskiej i jestem pewien, że ksiądz prałat odzyska zdrowie

. . . .

Nazajutrz ks Svegliati zjawił się u Ojca św., choć od dłuższego czasu wyręczał się innymi.

— Co? Ksiądz tu i tak czerstwy? spytał Pius IX.

— Tak jest! Ojcze święty.

— Cóż znowu? Co za święty uzdrowił księdza?

— Nie jest on jeszcze kanonizowany, ale nim będzie. Był u mnie ks. Bosko w sprawie swego Zgromadzenia, polecił mnie Wspomożycielce Wiernych i jestem zdrów.

— Ksiądz Bosko? Już mi mówił kardynał Berardi o uzdrowieniu swego kuzynka. Kardynał Sekretarz Stanu sam został uzdrowiony. Teraz ksiądz to samo. Wszyscy mi mówią o księdzu Bosko, a ja go tą razą jeszcze nie widziałem. Widocznie P. Bóg chce, abyśmy go popierali. Księże Prałacie, należy dołożyć wszelkich starań, aby go zadowolić. Pan Bóg nie mógł nam lepiej objawić swej woli.

Od tego dnia ksiądz prałat Svegliati był zwolennikiem wszystkich zamysłów księdza Bosko.





ŻYWOT
X. BISKUPA ALOJZEGO LASAGNI

MISYONARZA SALEZYAŃSKIEGO

(Ciąg dalszy).

Teraz on zstępował do nich, do każdego odzywał się słowem pociechy i miłości, pytał o ich prace, o ich troski i cierpienia, starał się rzucić w ich serca kilka ziarn pobożności i miłości bożej i przyciągnął ich ku sobie urokiem swej ojcowskiej dobroci. W istocie nowy biskup rozmawiał równie łaskawie z prostaczkiem, jak z uczonym, z małym, jak z wielkim, z ubogim, jak z bogatym, odnosząc się do wszystkich z tą samą chrześcijańską miłością.“

Dodajmy do tych wszystkich cennych świadectw, że konsekracya biskupia spotęgowała jeszcze w duszy biskupa Lasagni wzniosłe cnoty, które w życiu swem potrafił nabyć. Swięte Oleje, jakimi go namaszczono i łaska, jaką Duch Swięty wlał w jego serce w chwili, gdy był wyniesiony na najwyższą godność kapłańską, wzmogły w nim jeszcze głębsze przywiązanie do św. Kościoła katolickiego i do jego najwyższej Głowy, Pasterza Rzymskiego. Od dnia swej konsekracyi zdawało się, że nie był zdolny mówić, ani pisać nie wspominając o Ojcu św., nie powtarzając Jego nauk, nie broniąc Jego uświęconych praw i nie ubolewając nad jego smutkami i cierpieniami. Więcej, niż kiedykolwiek, miał wyryte w myśli i w sercu słowa, które ks. Bosko zwykł był w ostatnich latach życia powtarzać swym synom: *Żądam i chcę, żeby wszyscy synowie pobożnego Stowarzyszenia św. Franciszka Salezego nietylko przyjmowali ochoczo, z uszanowaniem i prostotą serca wszystkie decyzye Ojca św. rozstrzygające o Dogmatach i karności kościelnej, ale aby, nawet w kwestyach ulegających dyskusyi, szli zawsze za Jego zdaniem prywatnem raczej, niż za opinią jakiegobądź teologa czy doktora.*

Nic dziwnego zatem, że we wszystkich kwestyach filozoficznych, religijnych i politycznych biskup Lasagna trzymał się ściśle zdania Ojca św. Nienawidził tego nieszczęsnego liberalizmu, który w naszych czasach wiele osób usiłuje po-

łączyć z wyznaniem wiary katolickiej i z praktykami pobożnemi; walczył z jego zasadami, ilekroć miał ku temu sposobność. Zapewniał mnie o tem jeden z jego najzaufańszych przyjaciół, uczony i pobożny kapłan, w liście pisanym do mnie 3go lutego 1899, w którym opisywał mi długi i przykry przeszło dwugodzinny spór, jaki prowadził ks. Lasagna, aby przekonać swych przeciwników o smutnych i strasznych skutkach nowoczesnego liberalizmu.

Ostatecznie godność biskupia podnieciła tylko żywiej jego gorliwość, która odtąd nie znała już granic. Tak wprowadzał w czyn godło, które sobie był obrał w dniu swej konsekracyi: *Sal agnis*, a które było odwróceniem nazwiska, jakie nosił. Jak wiele rzeczy mieściło się w tych dwóch słowach! Obejmowały one wszystkie obowiązki biskupa, apostoła, syna ks. Bosko, prawdziwego misyonarza. Wszystkie dusze, ale przedewszystkiem najbardziej opuszczone, dusze któremi się dotąd nikt nie zajmował, biednych, dzikich mieszkańców lasów, stały się jego ukochaną trzódką; o nich myślał w dzień, śniło mu się w nocy i z całą prawdą i słusznością mógł być nazwany *Biskupem dzikich.* Zdawało się, że ciągle brzmi mu w uchu głos wewnętrzny powtarzający straszne słowa św. Pawła: *Vae enim mihi est, si non evangelizavero — Biada mi, jeżeli nie będę im opowiadał Ewangelii.* Śpieszno mu było rozdawać im nie pokarm ciała, ale ten, którego były więcej spragnione, t. j. sól mądrości, która miała ich umocnić przeciw wrogom duszy i uczynić zdolnymi do dzieł dobrych i świętych. To wzniosłe pojęcie o zleconem mu apostolstwie podniecało w nim śmiałość w świętych przedsięwzięciach i poświęcenie. Powtarzamy raz jeszcze, że jego działalność biskupia była tylko nieprzerwanem zastosowaniem tego pięknego godła: *Sal agnis.* Odtąd nie było dnia, w którymby nie wygłosił był kazania, a czasem nawet i kilka.

Przekonywa nas o tem *dziennik* spisywany przez jego wiernego sekretarza. Jest to gruby tom; a jednak niema tam wzmianki o jego pracach, gdy był dyrektorem Oratoryum w Villa Colon i Inspektorem domów Salezyańskich w Uraguaju i Brazylii; niema mowy o strasznej odpowiedzialności, jaką go obciążał nadzór nad piętnastu, czy szesnastu Zakładami dla młodych chłopców i dziewcząt, nad którymi czuwał z ojcowską troskliwością. Dziennik ten nie zapisuje jego kazań, konferencyi i przemów w Oratoryach, oraz długich godzin, jakie poświęcał słuchaniu spowiedzi i kierownictwu dusz, które mu się powierzały. A jednak to wszystko byłoby wystarczającem, aby zapełnić jego czas. Niema tam również mowy o przykrych i upokarzających trudach, jakie musiał podejmować, aby zgromadzić fundusze dla podtrzymania dzieł rozpoczętych. Dziennik opisuje nam tylko ceremonie biskupie, narady z kolegami biskupami oraz z ministrami państwa o nowych fundacyach, podróże i misye. A jednak, przeglądając te karty, jesteśmy zdumieni i wzruszeni głęboko; pytamy się sami siebie, jakim sposobem organizm człowieka mógł się oprzeć takim trudom zdolnym znużyć najsilniejszy charakter i podkopać najbardziej kwitnące zdrowie?



Kiwarosowie w świątecznym stroju.

Ciasne granice, jakie założyliśmy naszej skromnej pracy, nie pozwalają nam iść krok w krok za tym dziennikiem. Opiszemy przynajmniej główniejsze podróże i wizyty biskupie w domach salezyańskich poddanych jego nadzorowi. Zwrócimy uwagę czytelnika na wybitniejsze fakta, a szczególniej na to, co się tyczyło misyi, tego dzieła, które było celem wszystkich myśli i całej potężnej energii biskupa-apostoła.

Rozdział XXXVI.

W Rio Janeiro. — Krzyż pasterski. — Patronaże. W „Cascadinie". — Historya mistrzynią. — Oratoryum Santa Rosa zamienione w magazyn i szpital wojskowy. — Podróż przez Brazylię. — Poszukiwanie wielkiego pola pracy. — Czem jest właściwie praca apostolska w Matto Grosso. — Zaczątki trzech nowych fundacyi. — Droga ku niebu.

Zaledwie zaspokoił potrzeby drogich swych synów w Uraguaju, już biskup Lasagna musiał śpieszyć do Brazylii, gdzie go niecierpliwie oczekiwano. 9go czerwca przybył do Rio Janeiro w towarzystwie swego sekretarza i kilku innych Salezyanów. Jeszcze nie zdążył wysiąść na ląd, a już na okręcie *La Plata* otoczył go prawdziwy tłum, pragnący go powitać i otrzymać jego błogosławieństwo. Były tam dzieci ze szkół z Nikteroy, Lorena i San Paolo ze swymi dyrektorami i nauczycielami, i przeszło 300 Pomocników, którzy, pragnąc jak najrychlej powitać nowego biskupa, wynajęli jeden z małych parowców odbywających służbę w porcie i przybyli do miejsca, gdzie *La Plata* zarzucił kotwicę Orkiestra odegrała utwór umyślnie na tę okoliczność skomponowany, poczem Dr. Dos Reis, profesor Szkoły Politechnicznej w Rio Janeiro, zabierając głos w imieniu wszystkich, powitał z zapałem nowego biskupa. Zaledwie przybyto do kollegium Santa Rosa, orszak cały udał się do kaplicy, aby złożyć dzięki Bogu, że przywrócił dzieciom ukochanego Ojca podniesionego do wysokiej kościelnej godności. Skorzystano też z tej sposobności, aby uczcić uroczysty dzień św. Alojzego. Panegiryk wielkiego Opiekuna młodzieży wygłoszony został przez Mons. Rajmunda da Silvo Brito, jednego z najznaczniejszych, jeżeli nie najsławniejszego kaznodzieję w Brazylii.

Następną niedzielę, 23go czerwca, obradzili Pomocnicy Salezyańscy, aby złożyć biskupowi Lasagni hołd swych serdecznych uczuć.

Zebrali się w znacznej liczbie w Oratoryum, aby ofiarować biskupowi kosztowny krzyż ze złotym łańcuchem. Wygłoszono mowy, długo i gorąco oklaskiwane, i nic nie zakłóciło tej serdecznej uroczystości, która zaszczyt przynosi naszym wspaniałomyślnym dobrodziejom. Podczas tego pobytu w Nikteroy, biskup Lasagna uproszony został o prezydowanie na konferencyi Towarzystwa św. Wincentego. Prawdziwy syn Ks. Bosko i gorący opiekun Patronażów skorzystał z tak dobrej sposobności, aby polecić gorliwym członkom dobroczynnego zebrania, to prawdziwie opatrznościowe dzieło Patronażów, które jest ratunkiem biednej opuszczonej dziatwy. Pomiędzy odwiedzinami, jakie nowy biskup złożył różnym dostojnikom w Rio Janeiro, zapisać musimy odwiedziny u Nuncyusza Stolicy św. Mons. Gottiego, który, w kilka lat potem, miał zasiąść w św. Kollegium Kardynałów i stać się jego chlubą; oraz u sekretarza jego, biskupa Guidiego, dla którego nasz biskup salezyański żywił serdeczną przyjaźń. W jego towarzystwie odwiedził wielką fabrykę tkanin, zwaną *Cascadina*, położoną o godzinę drogi od Petropolis a zatrudniającą 4000 robotników, z których trzy czwarte Włochów. Serce ks. Lasagni ścisnęło się na widok tylu rodaków pozbawionych wszelkiej opieki religijnej, a osobliwie na widok tylu biednych dziewcząt, pracujących wspólnie z mężczyznami. „Ach, zawołał wtedy, czemuż nie mam więcej misyonarzy i zakonnic, aby je tu osiedlić i powierzyć im zbawienie tylu dusz!"

Odwiedził także poczciwe zakonnice M. B. Syońskiej, zakonu założonego przez O. Alfonsa Ratyzbonn, które tutaj znalazły pomieszczenie w dawnym pałacu Cesarza don Pedra. Jest to fakt, który warto zapisać. Te zakonnice przybywszy z Francyi prosiły Cesarza o pozwolenie osiedlenia się w Brazylii; a Pedro II, obawiając się narazić sekcie masońskiej, odrzucił ich prośbę (1). W kilka miesięcy później, Cesarz zrzucony został z tronu, a nowy rząd republikański sprzedał tymże zakonnicom pałac z obszernym ogrodem i całem otoczeniem. Dawna sala tronowa służy teraz Królowi świata, którego panowanie nie ma granic ani końca, którego tron nigdy nie będzie wywrócony, Bogu najwyższemu.

---

(1) Sprostowanie:

Szukając przedewszystkiem prawdy, przyjęliśmy z wdzięcznością uwagi, pochodzące z najpewniejszego źródła, a dotyczące tego szczegółu i wyznajemy chętnie, że osoby, które nam go opowiadały, nadużyły naszej dobrej wiary. Oto co nam mówi w tej sprawie świadek najzupełniej wiarogodny:

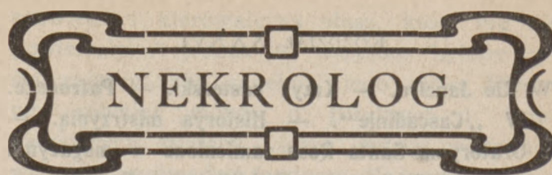
Zakonnice M. B. z góry Syonu osiedliły się w Brazylii w r. 1888 przed upadkiem monarchii i pierwszy dom założyły w Rio Janeiro. Przedstawiły się Nuncyuszowi biskupowi Spolveriniemu, który zamieszkiwał w klasztorze Karmelitów. Później otwarły drugi dom w Petropolis, w pałacu cesarskim, który nigdy nie był skonfiskowany i dotąd jest prywatną własnością spadkobierców Don Pedra II, a ci chętnie pozostawiają go nadal Zakonnicom. Jest również faktem, że w tej rezydencyi Cesarz nigdy nie posiadał sali tronowej.

W tymże samym, mniej więcej, czasie kollegium S Róży wskutek następstw wojny domowej przeszło ważne zmiany.

Dom zamieniony został na magazyn wojskowy oraz na szpital dla chorych i rannych; Salezyanom zaś nałożono obowiązek rozdawania ubogim rodzinom zapasów żywności, które rząd na ten cel przeznaczył; równocześnie objęli obowiązki kapelanów szpitala, aż do końca strasznej wojny. Gdy spokój powrócił, pułkownik Józef de Cunha, dowódca załogi w Nikteroy, wyraził Salezyanom w bardzo szlachetnym liście wdzięczność swoją za nieocenione usługi oddane biednym i chorym. Ta gorliwość naszych współbraci brazylijskich była pięknym owocem owego ducha zaparcia i poświęcenia, jakim umiał ich natchnąć ks. Lasagna.

Ten ostatni zapuścił się teraz w głąb Brazylii, zatrzymując się bardzo krótko w Lorena, Guaratinguetà, San Paolo i Campinas. Towarzystwo kolei żelaznych nietylko ofiarowało mu bezpłatny przejazd, ale oddało na jego usługi osobny wagon pierwszej klasy. Wyruszywszy 6go września wczesnym rankiem z San Paolo, przybył o 6 ½ wieczorem do Botucatu, gdzie doznał najuprzejmiejszego przyjęcia od proboszcza miejscowego ks. Paschalisa Ferrariego, bardzo gorliwego Pomocnika, który oddawna starał się, aby duchowni synowie ks. Bosko założyli w jego parafii Oratoryum. Nim przybył do tego miejsca, biskup Lasagna sam sądził, że byłoby tu właściwe pole do pracy nad nawracaniem i cywilizowaniem dzikich; ale gdy na miejscu wszystko dobrze rozważył, przekonał się, że jest w błędzie. W okolicach Botucatu bowiem błąkały się już tylko małe garstki dzikich. Wszędzie tutaj rozpościerały się liczne i kwitnące *faktorye*, uprawiające na wielkich obszarach kawę; a biedne dzikie plemiona w miarę postępów cywilizacyi musiały szukać schronienia w głębi nietkniętych dotąd lasów. To też biskup z bólem serca musiał odmówić życzeniu zacnego proboszcza, mimo że dom, który mu ofiarowano, był piękny, obszerny, wybornie położony i urządzony. Przedstawił mu, że w obecnej chwili Salezyanie całą swoją pracę winni poświęcić duchowemu odrodzeniu Indyan rozprószonych wsród ogromnych obszarów leśnych.

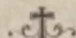
(Ciąg dalszy nastąpi).



ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.

Biela Grzegorz — Cielnice *Górny Śląsk.*
Cichowska Jadwiga — Mieczna, *Górny Śląsk.*
Dąbrowska Maryanna, — Kobierno, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Dziambor Jan, — Osiek. *Galicya.*
Felsztyńska, Karolina, — Przemyśl, *Galicya.*
Fischbach Maximilian, — *Poznań.*
Garucacz Marya, — Zaborze, *Górny Śląsk.*
Gromotki Tomasz, — *Górny Śląsk.*
Gordecka — Kalisz, *Królestwo Polskie.*
Kajerska Jadwiga, — Szarlej, *Górny Śląsk.*
Kęta Maryanna, — Spytkowice, *Galicya.*
Klemczak Michalina, — Piaski, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Klima Joanna, — Żory, *Górny Śląsk.*
Koliński Antoni — Radun, *Prusy Zachodnie.*
Kolińska Marianna, Radun, *Prusy Zachodnie.*
Konieczna Maryanna — Błażejewo, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Kokot Julianna — Zurków, *Dolny Śląsk.*
Kotuła Elżbieta — San Antonio, *Stany Zjednoczone.*
Korczyńska Julia — Zborów, *Galicya.*
Kubica Maryanna — Brzezowice, *Górny Śląsk.*
Leciejewski Szczepan — Konary *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Lewandowski Piotr — Sta. Barbara, *Stany Zjednoczone.*
Małek Wacław — Grąbkowo, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Nowicka Konstancya — Barcin, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Osmański Ignacy — Kcynia, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Pałka Wincenty — Chrzanów, *Galicya.*
Paszenda Józef — Pawłowice *Górny Śląsk.*
Poślednik Zofia — Konary, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Przewoźna, Małgorzata — Konary, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Prymula Maryanna — Jachówka. *Galicya.*
Radzięda Kasper — Doły, *Galicya.*
Szafron Michał — Frydek, *Galicya.*
Szczepańska Rozalia — Chicago, *Stany Zjednoczone.*
Suchan Karol — Bismarkhuta, *Górny Śląsk.*
Wera Maryanna — Radun, *Prusy Zachodnie.*
Wera Zuzanna — Radun, *Prusy Zachodnie.*
Wojciechowska, Franciszka — Laurahuta, *Górny Śląsk.*



Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Amen.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: JÓZEF GAMBINO
Drukarnia salezyańska. (B. S.) — Turyn, 1906.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. MONAUNI. (Trento-Austria).